



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Przyczynek do historii rozwoju górnictwa i ruchu górniczego na Śląsku / [Alojzy Bonczek].

Liczba stron oryginału

70

Liczba plików skanów

70

Liczba plików publikacji

71

Sygnatura/numer zespołu

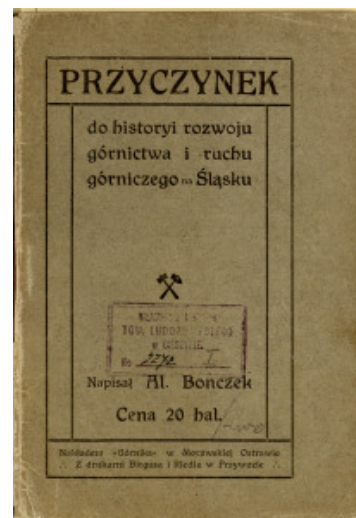
C I 003425

Data wydania oryginału

1911

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



Fundusze Europejskie
Program Regionalny



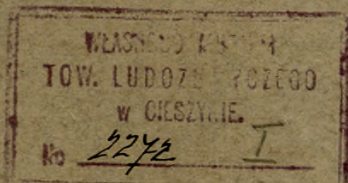
Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



PRZYCZYNEK

do historyi rozwoju
górnictwa i ruchu
górniczego na Śląsku



Napisał **Al. Bonczek**

Cena 20 hal.

Nakładem »Górnika« w Morawskiej Ostrawie
Z drukarni Birgusa i Riedla w Przywozie

E.2

943.8:323.3392



C.0034251

PRZYCZYNEK

do

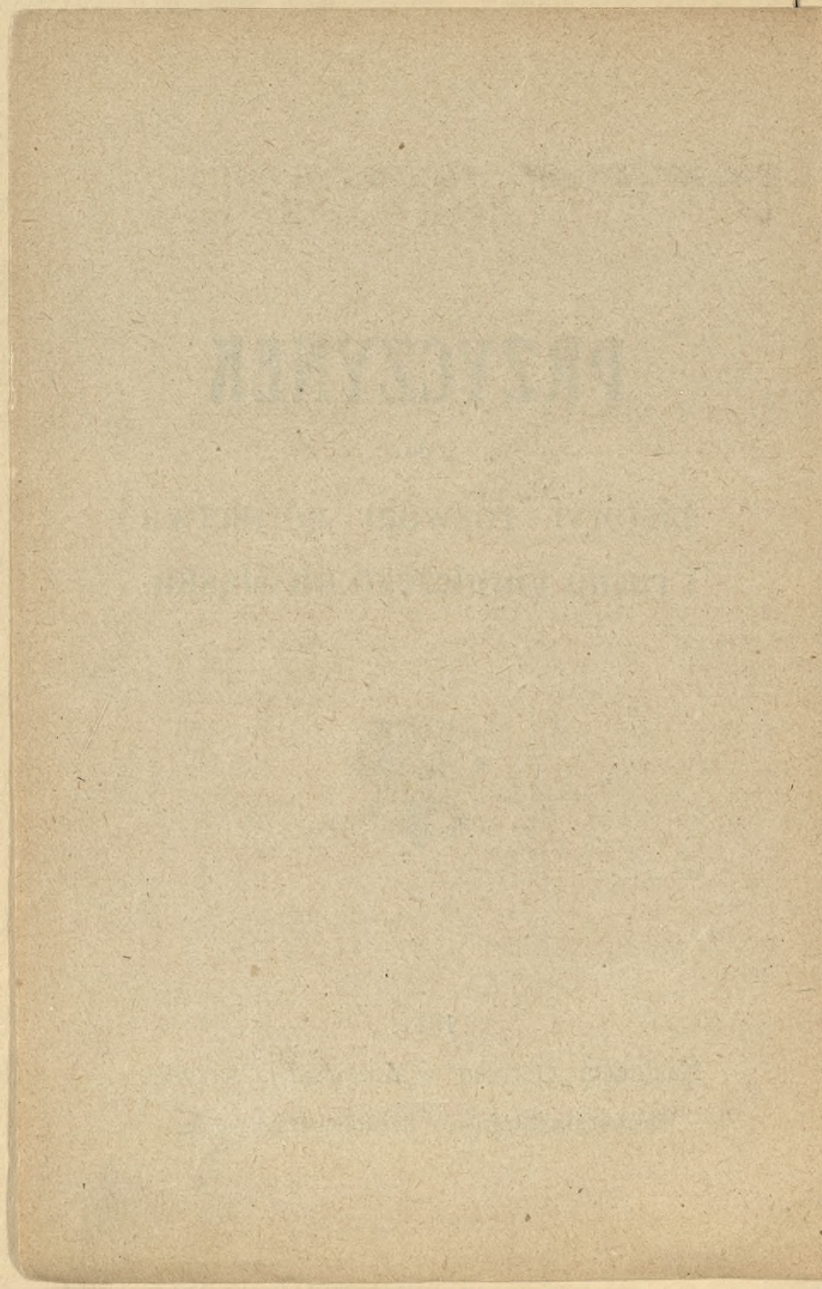
historyi rozwoju górnictwa
i ruchu górniczego na Śląsku.



1911.

Nakładem „Górnika“ w Morawskiej Ostrawie.

Drukarnia Birgusa i Riedla w Przywozie.





Przyczynek do historii rozwoju górnictwa i ruchu górniczego na Śląsku.

□□□□□

Wszystko, co kiedykolwiek na świecie istnieje, pozostawia historię swego istnienia. Przemysł górniczy, rozwój kopalnictwa, wszystko to, co składa się na wszystkie zmiany postępu w przemyśle górnicy, posiada również swoją historię.

Bezwątpienia możemy to samo powiedzieć o górnictwie i jego rozwoju w rewirze Ostrawsko-karwińskim na Śląsku. Może żadne przedsiębiorstwo w Austrii nie zostawiło za sobą takiej historii, jak górnictwo na Śląsku. Rozwojowi górnictwa na Śląsku chcę poświęcić właśnie chwilę czasu.

W opisie niniejszym chcę uprzytomnić czasy od roku 1878, gdzie to rewir śląski ograniczał się tylko do kilku kopalń, całkiem pojedynczo wykonanych, w których pracę w najprostrzy sposób, kilkanaście sążni pod

powierzchnią ziemi się wykonywało. Jeżeli byśmy dzisiejszego górnika postawili przy pracy na kopalni w tych dawniejszych czasach — żadną miarą by nie uwierzył, że w 30 latach można zrobić taką wprost zupełnie przekształcającą zmianę w górnictwie.

Jeśli porównamy dzisiejsze stosunki w zagłębiu ze stosunkami z przed laty 20 lub 30 ujrzymy nie tylko zmianę w samem zarządzaniu technicznem górnictwa (co owszem jest ważnem dla istnienia tegoż) lecz w szalonym wzroście rozmaitego rodzaju bogactw, napływie ludności, powstaniu i rozwoju organizacyi, w stosunkach życiowych górnika i ożywienia całego ruchu przemysłowego na Śląsku. Mój opis sięga czasu, kiedy jeszcze na wszystkich kopalniach istniejących nie było maszyn do dobywania węgla (fedrowania) lecz dobywano węgiel z kopalni w t. zwanych kiblach, jak wodę ze studni; gdzie posiadano maszyny, to były one bardzo nier praktyczne, pomału się ruszające. Wprawdzie większy ciężar węgla naraz z szybu były w stanie wydobyć, — aniżeli siłą ludzką, jednakże powoli, nie wiele prędzej winęda się poruszać, aniżeli siłą ludzką. Zamiast taczek w kopalni, z powodu niskich pokładów, używano zwykłych drewnianych skrzynek o pojemności 10 do 16 szufli węgla. Puszki na dnie były okute żelaznemi paskami, by tym sposobem prędzej i lżej można było je, tak jak sanki na śniegu,

ciągnąć po zwilżonej podłodze (zwanej zolą) w pokładzie.

Wózki do ładowania węgla były o pojemności 3 do 5 metr. cent. Prowadzono je po kolejkach nie takich, jak dzisiaj, tylko były to kolejki w rodzaju żelaznych pasków, które przymocowane były do grubych desek drewnianymi klinkami. Do podtrzymywania powały (firstu) używano bądź grubszych desek lub t. zw. okorów, które stawiano na stojkach w odległości najwyżej $\frac{3}{4}$ metra jeden od drugiego, by tym sposobem zabezpieczyć przerywanie jeszcze całkiem gliniastego stropu, w niektórych miejscach.

Ze względu na płytkość szybów nie było tyle duszących gazów w kopalniach, Wiatrowania tak szybu, jak i samych miejsc pracy nie prowadzono w ten sposób, jak dzisiaj. Po największej części tym samem szybem jedną połową wchodziło świeże powietrze do szybu a drugą połową wychodziło zepsute; zaś w przodkach pracowano zupełnie bez jakiegokolwiek powietrza całymi tygodniami w dymie, który się wytwarzał przy strzelaniu. Jeżeli w którym czole (przodku) gromadziły się gazy w takiej ilości, że się zapalały, ustawiono na początku zaczętego chodnika, z głównego przechodu zwanego grunstrekiem, mały młynek wiatrowy, zwany fohrem, na wzór dzisiejszych młynków na czyszczenie zboża zrobionych. Od młynka szły rynny, tak zwane lutnie drewniane

do samego czoła. Do takiego młynka dawano bądź chłopca lub jakiego innego, starszego robotnika, który musiał korbą od młynka całą zmianę obracać wytwarzając za pomocą skrzydeł w środku młynka znajdujących się, świeże powietrze, które rynkami płynęło do samego czoła, gdzie kopacze pracowali.

Zaznaczyć należy, że aż do pierwszej masowej katastrofy, która się wydarzyła w roku 1885 dnia 6 marca na szybie Jana w Karwinie, wszędzie, tak we węglu jak i kamiennych pracach, łamano skałę zapomocą strzelania, a ponieważ wówczas dynamitu nieznano, strzelano prochem; Nieznano wówczas żadnych zapalnych lontów. Kopacze musieli je sobie sami przygotowywać. A działo się to tak: Narznięto długich, twardej żytnich źdźbeł, które napełniano całkiem drobnutkim prochem, poczem zatykano źdźbła z obu stron bądź woskiem lub też kawałkiem papieru. Takie wypełnione źdźbła zwali górnicy raketami. Każdy górnik (kopacz) nosił je w umyślnie na to zrobionej z drzewa do $\frac{3}{4}$ metra długiej na wzór rurki t. zwanej hilzie, która posiada dno i nakrywkę. W tych drewnianych rurach nosili górnicy owe rakiety, by uchronić je przed połamaniem.

Zakładanie strzału wymagało całkiem innej znajomości pracy, niżeli dziś, gdzie się to dzieje zapomocą dynamitu i różnych nowoczesnych zapalników, (zündschnur lub

elektrycznych przewodników): Oto po wykończeniu czyli wyświdrowaniu dziury, musiano starać się, aby była możliwie sucha, to znaczy kopacz musiał miejsce, gdzie miał przyjść proch uchronić od wody. Następnie wsypano w dziurę za pomocą małych blaszanych rurek, które stanowiły o sile strzału, proch przeznaczony do strzału. Proch ubijano żelazną sztabą u jednego końca z małym wydrążeniem, zwanem „stampfer“. Kiedy potrzebna ilość prochu ubitego znajdowała się w dziurze, zasadzono teraz palnik (raketę) w ten sposób, że zapomocą cienkiej sztaby żelaznej ostro zakończonej na jednym końcu robiono dołek w ubitym prochu, by tam wsadzić raketę, poczem ostrożnie ubijając wypełniano pełną dziurę ziemią. Rakietę musiała wystawać z dziury, gdzie mieścił się strzał. Rakietę zapalano za pomocą krzesiwa.

Oprócz tego, jak widzimy innego całkiem sposobu strzelania, narzędzia do kopania węgla były całkiem pojedyncze, nieznano żadnych „szpiców“ cienko zaostrzonych do kopania węgla, jak obecnie, posługiwano się kilofem całkiem prostym. Nieznano żadnych maszyn, jak dzisiaj.

Trwanie szychty i zarządzenia techniczne.

Czas pracy niebył niczem ograniczony w kopalni, starano się o to, by początek

szychty był oznaczony, ponieważ robotnicy musieli włązić i wyłązić po drabinach, więc dozorczy czuwali koło wejścia na drabiny do szybu przyczem poleconem było, by każdemu górnikowi zamierzającemu udać się na drabiny lampkę oglądnięto, czy ma zamkniętą i kosz i szkło nieuszkodzone. Lampki noszono do domu, każdy musiał sobie sam oliwę kupować i knot, dostawał tylko przy udowodnieniu rozbicia lampki z niewłasne winy inną lampkę, co się rzadko stawało; za wymienione szkło odtrącono mu ze zarobku. Każdy sobie sam musiał lampkę czyścić i zaświecać, obowiązkiem górnika było także przed wchodem do kopalni zamknąć ją kluczem, który na siłupie koło szybu wisi. Ponieważ wolno było na dole lampkę w bezpiecznem od gazów wolnem miejscu w wypadku zgaśnięcia, zaświecić, przeto dozorczy nosili u siebie klucze, do odmykania lamp.

Dozorcy i urzędnicy nie chodzili po drabinach, lecz jeździli liną. Narzędzia potrzebne do pracy górnik znosił sobie po drabinach na dół.

Jeżeli jaka kontrola istniała przy wchodzeniu górnika na dół, to żaden się nie troszczył o to, czy wszyscy są na wierzchu. Owszem zapis był w cechowniach prowadzony, lecz sam sztygar, który pisał zmiany robotników, nie wierzył w to, że tych, których pisał w cechowni, ma wszystkich w kopalni. Lizuństwo, korupcja były do tego

stopnia, że dużo dało się zapisać, że idą do pracy, a nie poszli; poszli do domu. Kopacze chodzili na dół, czasem nawet prędzej niżeli oznaczony był czas do rozpoczęcia szychty; o nikogo się nie troszczyli, byle jak najprędzej węgla nakopać, i znów iść na wierzch. Prace były tak rozdzielone, że chodnik został przydzielonym tym kopaczom, którzy w nim pracowali aż do ukończenia. Jeżeli pracowano na dwie lub trzy zmiany w jednym czole, to każda zmiana pracowała dla siebie, jeden o drugiego wcale się nie troszczył, bo nawet się nie znali.

Straszliwe to były czasy dla śleprów jak i dla wozaczy. Z powodu ogromnie niedostatecznego zarządzenia technicznego i inwentarza kopalnianego, brakowało ciągle wozów, do których się w kopalni miał węgiel ładować, to też śleprzy zmuszeni byli razem z wozaczami 14 do 16 godzin być w kopalni, by węgiel przez kopaczy nakopany na wierzch wydać. Jeżeli się zdarzyło, że pomimo najlepszej woli nie można było nakopanego węgla władować do wózków, wówczas następnego dnia za karę następowało wymazanie całego zarobku. Młodszych wozaczy i śleprów bili dozorczy w brutalny sposób umyślnie na to przygotowanymi nahajkami, którą każdy dozorca nosił w bucie w cholewie.

Ponieważ pokłady były niskie i jako pierwsze pod powierzchnią ziemi, bardzo

wodniste tak, że w każdym czole było mokro, dalej ponieważ nieznano żadnych pochylni, któremi by wozy bliżej prac doprowadzano, zmuszeni byli śleprzy naprzód na wspomnianych na wstępie sankach później już na taczkach dalekimi drogami taczkować, nie było rzadkością odległość dla ślepra 400 do 600 sążni, przez którą zmuszony był całą zmianę taczkować. Była to prawdziwa męczarnia dla ślepra.

Jeżeli zważymy brak powietrza, jaki w ten czas był w kopalni, brak wody do picia i straszliwa praca — była to prawdziwa męczarnia szczególnie dla młodego chłopca w kopalni.

Niepraktyczne prowadzenie górnictwa.

Jeszcze dotkliwiej dawała się odczuwać dawniej praca górnikowi, aniżeli dziś i dlatego, że panowie nie posiadali należytego praktycznego uzdolnienia dla prowadzenia prac w górnictwie stosownie do jego wymagań. Dziś umożliwia to już znajomość położenia pokładów w całym zagłębiu węglowym, przez co można położenie poziomu z góry wyznaczyć wymierzyć i obliczyć. W początkach przy głębieniu szybu jeżeli trafiono na węgiel, zastawiono natychmiast szyb i zaczynano bić w prawo i lewo główne chodniki, nie robiąc sobie z tego żadnego kłopotu w jakim położeniu się pokład znajduje. Jeżeli pokład położonym był pod

głównym chodnikiem w dole w tak zwanym upadzie, cały transport czyli dobywanie węgla było ogromnie trudnem, gdyż wszystko musiano ciężko do góry fedrować, Jeżeli pokład był położony w kopcu od głównego chodnika, fedrowanie bywało łatwiejsze, jednak znów praca była niebezpieczniejsza z braku powietrza i gromadzenia się gazów, które jako lżejsze zawsze napełniały kopce i wyżej położone miejsca w kopalni. Dopiero, kiedy obliczono rozmiar i położenie pokładu i ograniczono takowy tak w kopcu jak i u dołu głównymi chodnikami, łączając takowe na poprzek jako przewody powietrza praca się zmieniła. Później, gdy wynaleziono sposoby puszczania na pochylniach, za pomocą tzw. gempli i rempołów, również, gdy wynaleziono małe maszyny na wzór maszyn fedrunkowych, zwane hasple, które pędzono siłą powietrza zgęszczonego, gdy wynaleziono sposób prowadzenia powietrza do czoł zapomocą przedziału z desek tak zwanych scheidrów, gdy zrozumiano należyte prowadzenie wody wyciskanej z węgla, pod szyb, i pompowanie tejże na powierzchnię, to zmieniło się dużo w kopalniach pod względem zarządzeń technicznych, w rewirze.

Trzebaby dosyć grubą książkę napisać, by wszystko wyłuszczyć co w ciągu trzydziestu lat w górnictwie zmienionem zostało, wszystko dla udoskonalenia kopalni

dla zwiększenia produkcji, mało ale dla ulżenia górnikowi w jego ciężkiej i niebezpiecznej pracy.

Dawniejsze stanowisko górników i zewnętrzny obraz w rewirze.

Jasnym jest przeto, że praca w kopalni w podanych wyżej warunkach dawniej była jeszcze cięższą i mniej wydajniejszą, co odbijało się najbardziej na samych robotnikach. Odstrasżające stosunki, brak ludzi były przyczyną, że górnikowi stosunkowo większą płacę na powierzchni zagwarantowano. Stąd też właściciele i kierownicy kopalń starali się wszelkimi sposobami pozyskać robotników do pracy w kopalni. Górników musiano formalnie łapać do kopalni, przywożono ich wagonami nawerbowanych z Galicyi i innych krajów. Stosunki jednak życiowe górnika w rewirze były tak marne, że nawerbowani po przepracowaniu kilku tygodni a nawet dni, uciekali z rewiru do swych rodzinnych miejsc. Tylko mniejsza część chwyciwszy się lizuństwa, pozostała w pracy. Głód, niskie zarobki, ciemnota, alkoholizm były stałymi gośćmi i przyjaciółmi górnika. I właśnie nic innego jak tylko ciemnota, brak uświadomienia przyczyniały się do tego, że na jednej stronie górnik żył w nędzy — a na drugiej całe masy przeróżnych kupców, dorobkiewiczów, pijawek bogaciło się jego krwawo zapracowanym groszem.

W ślad za rozwojem kopalń. za odkrywaniem nowych, bogatych pokładów węgla w ziemi śląskiej, przybywali najrozmaitsi spekulanci. by dorobić się tutaj majątku. Jeżeli przywędrował na kopalnię sztygar, inżynier lub inny urzędnik, zaraz pociągnął za sobą kupca kolegę, lub innego jakiego bądź spekulanta ze swojej ojczyzny. I tak wędrowali tu masowo dozorczy i urzędnicy z Czech i Niemiec. Przybyli nędzni, pokorni, nieśmiali, a dziś rozbijają się po zagłębiu, żyją w przepychu i wygodach. W latach pomiędzy rokiem 1878 aż do 1888 czyli w 10 latach w całym zagłębiu karwińskim pomiędzy dozorcami i urzędnikami na 100 nie znalazł 5 obcych, przeważnie na tem stanowisku byli tutejsi Ślązacy starsi, lepiej doświadczeni i zasłużeni górnicy. Dopiero w latach późniejszych przywędrowali do Karwinej na szyby hr. Larysza Włosi, którzy się odznaczyli tem, że wprowadzili nie tylko największe niedołęstwo w pracach lecz co najważniejsze spowodowali dwie wielkie katastrofy w roku 1885 i 1894, o czem później pomówimy. Do Dąbrowy, Orłowy o ile szyby już były, ciągnęli pierwsi Czesi, zaś na szyb arcyksięcia Albrechta Gabryela przywędrowali Niemcy, i to wszędzie już jako wyżsi urzędnicy.

Przywędrowani pomału zapoczęli wydalać tutejszych ludzi bądź dlatego, że ich według swego zdania za niezdolnych i nierozumiejących się na górnictwie uznawali,

przenosili ich na pensję lub na stanowiska różnych magazynierów, lub na inne miejsca, gdzie im jakikolwiek wpływ na robotników zupełnie odebrali. Pewną część, przeważnie lizuni, przerobili na takich, jakich sobie inżynier życzył. Opanowawszy w krótkim czasie nie tylko lepiej płatne miejsca na kopalni, lecz także wpływ na górników w ich prywatnym życiu, ujęto w szpony ciemnego i potulnego górnika śląskiego. Z krwawej pracy górnika zebrali majątek, i dzisiaj nie tylko, że utrzymują górnika w nędzy i zależności kopalnianej, że zawładnęli jego siłą roboczą lecz co więcej, starają się opanować jego duszę i umysł. Zczechizowali lub zgermanizowali śląskich górników, zgwałcili ich prawo kształcenia dzieci w ojczystym języku w szkole. W tem wszystkim byli im pomocni także księża napływowi z Czech i Morawy. Dowodem tego jest, że nawet w takich gminach jak Górna Sucha, Stonawa, Karwina, w szkole uczono po polsku a za uparciem się księży czechów musiano jeden dzień w tygodniu uczyć czeskiego języka, by dzieci się nauczyły czeskiego śpiewu kościelnego i modlitwy po czesku.

Tak było i w innych gminach, szczególnie w karwińskim zagłębiu. W Stonawie ostatnim czeskim księdzem był ks. Riedl rodem z Morawy, który pod naciskiem rozumnych obywateli musiał opuścić Stonawę, gdyż jego czechizacyjnym zachciankom coraz mniej ulegano. W Górnej Suchej położył

kres czechizacyi w latach 1871 ks. Oreł i nauczyciel bardzo wzorowy Gawlas Andrzej. Tam, gdzie nie było kopalń i nie przyszli w pomoc księżom czeskim rozmaici przybysze czescy, obywatele otrzęśli się z tego jarzma i napędzili czechizatorów w sutanach.

Skutki są dziś te, że obok niewoli ekonomicznej, trzymają dziś setki a nawet tysiące polskich górników w ogłupieniu, w ciemnocie, porobili z nich renegatów, zaprzańców, swoich niewolników. Młodzi górnicy dzisiaj ani sprawy sobie z tego nie zdają, jakich gwałtów i wstrętnych bezpraw dopuszczali się na ich ojcach i dziadach przeróżni sztygarzy i urzędnicy, którzy przybyli na Śląsk za groszem, za zyskiem.

Ale nietylko ci porośli w pióra. Wszak i dzisiejsi potężni magnaci albo wcale nieistnieli, albo nie posiadali w początkach górnictwa takich bogactw, jak dzisiaj. Hrabia Larysz miał wcale skromny zamek oparty o ściany kościoła frysztackiego, a bogactwo jego ograniczało się do 4—5 gmin okolicznych, ze szczupłemi gospodarstwami rolnemi. Potężnych baronów węglowych Gutmanów i Rotszyldów i innych znanych dziś szeroko akcyonaryuszów kopalnianych, nie znano przedtem na Śląsku lub bardzo mało.

I księżom dobrodziejom tak wspaniale się nie powodziło, dziś co krok, to fara, a

około niej tłuściutki jegomość z okrągłutkim brzuszkiem. I kupców i przemysłowców znacznie mniej było. A dziś koło każdej kopalni kilka gospód, kilkanaście sklepów, w których przeróżni geszefciarze czekają na przechodzących górników, by wydostać od nich krwawo zapracowany grosz.

Jak widzimy, wszystko, ten cały ruch i bogactwo powstało z rozwojem górnictwa na Śląsku. Górnictwo jest tą podwaliną, na której spoczywa cały ruch przemysłowy na Śląsku. A któż wydobywa te skarby ze ziemi? Przeważnie śląski, polski górnik. Bo czy widzieliśmy kiedy na dole z kilofem w ręku jakiegoś przywędrowanego inżyniera, urzędnika, kupca, fararza, lub samego hr. Larysza?! Przenigdy! Ale za to codziennie zjeżdżają na dół nasi ludzie, górnicy i krwawą pracą wydobywają węgiel z ziemi i przysparzają panom milionowe krociowe zyski. A sami co w zamian mają? Co pobierają za te prace ci, co są podstawą tych bogactw, co są motorem całego życia przemysłowego na Śląsku? Marne głodowe płace! Wydani na łaskę potężnych królów węglowych, szykanowani przez obcych przybyszy, urzędników, inżynierów, sztygarów i dozorców. Kapitał znajdujący się w rękach Niemców i Czechów decyduje i w sprawach politycznych. Dawniej w gminach zasiadali w zarządach obywatele tutejsi, choć wprawdzie ciemni, jednak za wspólnem porozumieniem radzili sami o

swojem losie. Zapomocą zdobytych na polskich górnikach kapitałów, wykupili przeszło 70% właścicieli realności, którzy dawniej byli górnikami i drobnymi rolnikami. Ślepa nagonka dozorców, nawet tutejszych, przy wyborach dopomogła do tego, że w radach gminnych zasiadły przybłędy, którzy mają radzić o losach przyszłości śląskiego górnika.

Tym sposobem zostały odebrane polskiej ludności nietylko prawo, ale i jakakolwiek możliwość rozwoju w kierunku społecznym, narodowym i kulturalnym. Historia tych walk i tych zmagania się polskiego górnika z kapitałem na Ślązku — jest niezwykle ciekawą.

Zależność ekonomiczna i ucisk naszych górników prowadziły do coraz marniejszej stopy życiowej. Niejeden z górników zadawał sobie pytanie: skąd ta cała nędza pochodzi, wszak uczciwie pracuję, modłę się szczerze, oszczędzam, poszczę, szanuję panów, wykonuję wszystkie akty wiary, nadziei i miłości (ostatniej wobec wszystkich, tylko nie wobec siebie), a przecież wszystko nic nie pomaga. W ciemnocie swej rozumował niejeden i pochlebstwa się chwycił, denuncyował drugich, pracował poza szczytą przeznaczoną w kopalni (co umożliwiała dawniejsza ustawa o trwaniu szczyty jeszcze bardziej jak dziś). Byli górnicy, którzy za miesiąc byli w stanie 40 do 50 zmian

wyrobić, lecz co mógł zarobić, jeżeli na zmianę otrzymał 70 centów, czyli 1 K 50 h. Kopacz taki płacę miał na pańską szychtę u hr. Larysza, a w akordzie nie była większa różnica. Chcąc innym sposobem zmienić swe położenie, szukali innej drogi wyjścia, chwytając się środków nie prowadzących do celu. Oto pracował tak długo, póki mu sił i czasu starczyło. Po skończonej robocie w kopalni wykonywał prace inne. Pomagał przy różnych pracach budowlanych, posługiwał szynkarzom, bawił dzieci w domu podczas gdy żona znowu sadziła ziemniaki na pańskim lub na polu rolnika. W myślach naprzód obliczał zyski tej ciężkiej pracy, a kiedy przyszła chwila obrachunku, końca z końcem związać nie było można.

Nietylko takich sposobów chwyтали się górnicy, by wybrnąć z ciężkiego położenia. Górnik w zagłębiu ostrawsko-karwińskim przechodził ten sam proces życiowy, co robotnik wszędzie tam, gdzie zetknął się po raz pierwszy z potężnym kapitałem. Jedna jest różnica, to ta, że na Śląsku cieszyńskim zaskoczył górnika polskiego kapitał, zupełnie niewyszkolonego, bez oświaty, i dlatego tak łatwo uczynił z niego bierne, powolne narzędzie swych operacyj zyskowych i szalbierstw politycznych.

I znowu muszę się zwrócić ponownie do szkolnictwa na Śląsku, za czasów pierwszych początków rozwoju górnictwa. Fak-

tem jest do dziś dnia bijącym w oczy, że Śląsk pod względem szkolnictwa był pomocozemu traktowany, a zwłaszcza ta część Śląska, gdzie rozwijało się zagłębie węglowe. Ludzie, którzy chodzili do szkoły w latach 1850—1880 w okresie rozwoju górnictwa, najwięcej na tem cierpieli.

W osadach zagłębia istniały gdzie niegdzie jedno- najwięcej dwu-klasowe szkoły i do tego czeskie, jak wyżej wspomniałem, do których uczęszczali chłopcy i dziewczęta razem. Nie wspomniałem o tem, że nauczyciele i księża, używali dzieci do prac prywatnych w godzinach nauki szkolnej. Ale o jednym wspomnieć muszę, tem bardziej, że fakt ten jest typowym przykładem, iż dobra szkoła i dobra nauka dla ludzi nie leży bynajmniej w interesie klas posiadających.

Były czasy, gdzie ekonom pański z obawy, aby mu zboże zżęte nie zmokło na polu, wynajmował dzieci szkolne, naturalnie starsze i dzieci robotników górników, do pracy na pańskim. I działało się to podczas nauki szkolnej. Rodzice przyzwyczajeni do podobnych praktyk, sami później stawiali żądanie władzom szkolnym, by dzieci ich z 12 lub 13 rokiem życia uwalniano ze szkoły. I po co? Po to, by chłopak taki mógł już iść do „hawierni“. Naturalnie rodzice ci nie robili tego z miłości do pracy w kopalni, ale ze względu na straszną biedę w domu. Pędzili więc dzieci zawczasu do zarobku.

Chłopiec odrazu dostał się w szpony kapitału i bronić się nie umiał tak, jak i jego ojciec i dziad nie byli do tego zdolni. Szkoła nie dała żadnego wykształcenia, nie nauczyła częstokroć ani czytać i pisać, ale natomiast wpoila mu w duszę jedno. Oto ksiądz katecheta nauczył go pokory i posłuszeństwa wobec możnych tego świata.

Z chwilą, gdy wstąpił do pracy w kopalni, ani mu do głowy nie przyszło, by się bronić t. j. zaprotestować przeciw wyzyskującym panom, których władza, jak mówił sam ksiądz, od samego pochodzi Boga!..

Przedsiębiorcy zdawali sobie doskonale sprawę z sytuacji: Wiedzieli co mają czynić, by z górniką zrobić posłusznego sobie niewolnika. I niewolę tę postanowili ugruntować, a w pomoc przysłała im znowu ciemnota górników i sklerykalizowane ich umysły. Wiedzieli panowie, iż górnik, który kuje skałę głęboko w ziemi, znajduje się w niebezpieczeństwie życia. Trzeba mu dodać otuchy, opieki, ale nie w formie ulepszeń, urządzeń technicznych. Ustanowili górnikom patronów, Prokopów, Barbarki. Ci święci mieli się opiekować pracującymi górnika-
mi. W ofierze przynoszono im odciągnięte kwoty do kasy brackiej, z których część przeznaczał statut na urządzenie uroczystości w dzień powyższych patronów. Prokopowi i Barbarce powierzono inspekcję górniczą, a kiedy górnik czasem przeniósł się na drugi

świat przy pracy, to nie winną temu była kopalnia lecz sam górnik, iż nie umiał sobie zaskarbić i wyjednać łaski u św. Prokopa lub Barbarki. Dlatego i tu panowie byli życzliwi dla górnika, zaprowadzili modły przedzjazdowe, jako skuteczny środek odwrócenia uwagi górników od źródła ucisku i usunięcia innym sposobem grożącego niebezpieczeństwa w kopalni. Wogóle starano się wbić w umysł górnika przekonanie, że panowie tj. przedsiębiorcy pozostają w jakimś patryarchalnym stosunku do górników. Pod osłoną tych najrozmaitszych obłudnych sztuczek, tumaniono górników z jednej strony a z drugiej wyzyskiwano, co się dało.

Ale nie na tem koniec. Przedsiębiorcy wiedzieli, że jeśli poczynili z górników swych niewolników, to trzeba im coś dać, co by ich odróżniało od reszty społeczeństwa. I oto ubrali górników w liberyę lokajską, w mundury górnicze. Wmówili w nich, że człowiek w takim mundurze jest czemś wyższem, lepszem... i osiągnęli swoje. Ubrano górników w mundury, za które sami grube sumy zapłacić musieli, gdyż potrącano im za takowe ze zarobku. A strojąc górników w mundury, zastrzegli sobie panowie, że na każde zawołanie mają górnicy w takowych wyruszyć. I nie było parady kopalnianej, przy której nie obeszło się ani razu bez umundurowanych górników, tak samo przy odwiedzinach różnych gości, którzy odwiedzali rewir dla podziwiania tego

wszystkiego, co się tu działo. W jedną rękę wepchano górnikowi kilof paradny, w drugą świecę i oprowadzano go w procesjach i pochodach jak ciołka. I radowała się panom dusza, kiedy widzieli, jak górnicy umundurowani, otumanieni idą i z posłuszeństwem przed nimi uginają karki. Aby zaś doszczętnie zabić w nich myśl o walce i obronie — a szychta ciągle jeszcze trwała 12—16 godzin — postanowili przedsiębiorcy zniszczyć doszczętnie jakiegokolwiek zdrowe rozumowanie.

Wiecie jak to już przedsiębiorcy ubrali górników w uniformy i porobili z nich umundurowanych niewolników. Chodziło im teraz o to, żeby odwrócić umysł górnika od źródeł nędzy, a całą uwagę skierować na rzeczy, zaciemniające istotę wyzysku. I oto zaczęto rozpajać górników.

Kosztem kopalni pobudowano tak zwane „werkshotele“ (hotele kopalniane), w których od czasu do czasu odbywały się hulanki, zabawy i tańce, a kończyły się zwykle bijatyką i mordowaniem. Jeszcze po dziś dzień stoi koło Sowińca w Karwinej taka kopalniana spelunka (na pamiątkę) pod nazwą „pod Bergmanem“ (pod górnikiem). A nie trzeba zapominać, że koło każdego szybu znajdowały się i stoją do dziś przeróżne knajpy, (dziś własnością szynkarzy, dorobkiewiczów), którzy tuczą się i żyją groszem górnika. W alkoholu szukał górnik ratun-

ku w nędzy, przed wyzyskiem i krzywdą. W rękach nie miał innej broni, nie umiał myśleć o obronie w walce, więc wódką zalewał robaka i pracował jak wół na jaśnie panów. Doprowadzony do ostateczności począł się bronić górnik siłą odruchu przeciw krzywdzie.

Początki buntu i niezadowolenia górników.

W latach 1887, 1889 miały miejsce pierwsze zaburzenia na poszczególnych kopalniach. Cóż z tego, kiedy one były krótkotrwałe, odruchowe, bo nie zorganizowane. Jedną stroną groźbą kary piekielnej za bunt dusił klecha całą walkę, drugą stroną niczem nieograniczony terror panów kopalniowych uśmierzał niespokojnych. I znowu nastawał spokój, a z niem jeszcze większe zło na kopalni, jak przed tem.

Przeciążony nadmierną pracą, wbatożony nędzą w ciemnotę nie śnił nasz górnik o jakiejś stałej, dobrze obmyślonej, dobrze zorganizowanej akcji samoobrony. Myśl walki i organizacyi nie wychodziła od niego, bo i wyjść nie mogła.

Hasła wolności, organizacyi przyszły skądinąd. Już w latach 1885 i następnych pojawiły się w naszym zagłębiu pierwsze zwiastunki mającego niedługo nadejść potężnego ruchu górników. Gazety i broszury niemieckie i czeskie zjawiały się najpierwej. Tomy ksiąg by musiano napisać, by opisać to

wszystko, jak prześladowano każdego tego górnika, który odważył się takie broszurki kolportować i czytać. Prawo koalicyi dla górnika w rewirze Ostrawsko-Karwińskim nieistniało żadne.

Broszurki, gazety, jedne drukowane w państwie niemieckiem, drugie w Czechach tam już miały grunt pod nogami, za nimi stały rzesze robotników. Z chwilą przybycia na Śląsk cieszyński trafiły na grunt podatny ale zachwaszczony, niezorany, zaniedbany zupełnie. Mimo wszystko przyjęły się, i wśród górników poczęła kiełkować myśl walki i organizacyi. Zrazu nieznaczna, potem rosła i potężniała.

Nowy gość zwiastujący górnikom naszym wieść wyzwolenia z ucisku i krzywdy spotkał się z zaciekłym oporem i nienawiścią ze strony przedsiębiorców. Zrozumieli, że poczyną się rozpadać dawna harmonia między panem a górnikiem, poczęła łamać się a miejsce jej zaczęła zajmować walka klasowa robotnika z kapitałem. Patryarchalne sielanki, istniejące dzięki ciemnocie wyzyskiwanych, poczęły zwolna ginąć i bladeć. I nawet powoływanie się na słowa pisma św., że każda władza od Boga pochodzi, że przez usta każdego kapitalisty przemawia sam Bóg, nie działały już tak szybko, uspakajająco, jak dotąd.

Trzeba było zabić w górnikach ponownie myśl o obronie. Trzeba im było wy-

bić z głowy bałamuctwa o istocie wyzysku i krzywdzie społecznej. Trzeba im było znowu zabagnić umysł słowami o miłości bliźniego, o zgodzie społecznej, pilności i oszczędności itd. I jak myślicie, kogo wydelegowali panowie na ogłupiaczy robotnika? Klechów. Tak jest! Księża uderzyli głośno w surmy bojowe i rozpoczęli wojnę z anarchią, z buntem. Wnet jak z pod ziemi wyrosły przeróżne klerykalne stowarzyszenia górników, w których ich ogłupiano, tumaniono. Swą klasową bezwstydną, lokajską robotą, zabijali w górnikach odporność na nędzę życiową. Przytępiali zdolność ich myślenia, wytrącali z rąk broń. Niszczyli w ludziach tych energię i inicjatywę. A wszystko na rozkaz z góry, na życzenie kapitału. Sprowadzano misyonarzy, jezuitów, którzy naciągali religię i wiarę do potrzeb i korzyści kapitału. Nagi wyzysk i krzywdę mas górniczych ubrali w ewangeliczne słowa „bożego postanowienia“. Z ucisku biednych zrobili cnotę wynagradzaną sowicie w niebie, a sami tyli i żyli krwawym groszem oszukiwanego ludu. Że dziś w masach górniczych istnieje jeszcze pewna apatya, brak energii w walce i obronie to przypisać należy tej bezwstydnej, demoralizującej robocie klechów. Jeszcze do najnowszych czasów przechowały się w zagłębiu szczątki tej oszukańczej misji pańskich agitatorów w sutanach: klerykalne organizacyjki. Dziś przemalowano szyldy, by mogły

lepiej tumanić naiwnych. Za pańskie pieniądze wprawiano im zęby, by mogły na nowo szarpać nasz ruch. Za pieniądze Laryszów, Guttmanów wyleczono ich z suchot, by mogły dalej siać wokół chorobę i zgniliznę. I choć z zewnątrz klerykalne organizacyjki dziś mogą wyglądać świeżo i zdrowo, to jest to jednak tylko galwanizowany trup, sztucznie podtrzymywany przed rozkładem. I w jakich to stosunkach życiowych górnik panoszyła się ta ogłupiająca robota klerykałów?!

Był to przecież czas, kiedy górnik upadał pod brzemieniem pracy, pełnej niebezpieczeństw i marnie płaconej.

A co działo się jeszcze z marnym zarobkiem górnik? Wypłata, względnie sposób wypłacania górników to jedna z odznak niesłychanego wyzysku robotników. Kiedy miała odbywać się wypłata, (która mało kiedy była regularną) ściągali zewsząd pod szyby gromady przeróżnych kupców wędrujących. Oszukańczy dorobkiewicz jawni złodzieje, przeróżne hyeny kupieckie rozbijały swe kramy i kramiki tuż pod bokiem kopalni. Wystawiali na sprzedaż tandetne ubrania, liche wyroby, towary obliczone na efekt, aby tylko wyciągnąć pieniądze z kieszeni górnik.

Przy samej wypłacie działy się rzeczy wprost niesłychane. Najprzód z marnym zarobkiem górnik, podzielili się sami panowie

kopalniani przez rozmaitego rodzaju odtrączki jak: kary straszliwe (dochodzące u pojedynczych górników do 25—30 koron) za oliwę, na kasę bracką, pomieszkanie, za narzędzia, za strzeliwo, do konsumu i t. p. odtrączki za rzeczy, które górnik zmuszony był na kopalni nabywać za pieniądze takie, jakie panowie wyznaczali. Oprócz tego mieli dostęp wolny, do stołu wypłatowego różni kupcy, geszefciarze, i kiedy górnika zawołano, ci górnik od pozostałej do wypłacenia kwoty odpychali, zabierając takową dla siebie. Nierzadkie wypadki były, że górnik cały rok nie ujrzał w swych rękach monety pieniężnej ze swego zaobku. Jeżeli górnik otrzymał wypłatę i wyszedł z lokalu wypłatowego, wnet go łapały hyeny kupieckie i przemocą wypychały w ręce towary. Za łada błyskotki, liche spodnie, scyzoryki zwierciadła, wyciągali kupcy krwawo zapracowany grosz robotnika. Długie walki trzeba było staczać, zanim wyrzucono tych oszustów kramikarzy na czas wypłaty. Dziś pozostały po nich zabytki. A wiecie jakie? Oto te putyki, knajpy, grajzlernie żydowskie przy kopalniach. W takich to chwilach rozpacz i nędzy, otrzymawszy górnik kilka reńskich, ciemny do tego, szedł do najbliższej putyki i przepijał, co jeszcze otrzymał, i z gołemi palcami pijaniusieńki powracał do domu.

W takich chwilach naga rozpacz i nędza bezlitośnie wchodziła w dom górnika.

A zwracam uwagę, że kiedy w takim czasie już jednostki uświadamiały górników, próbując ich organizować, klerykali dusili ten ruch, gwałtownie wyludzając składki, na nabożeństwa Barbarki, na obrazy do kościołów i cechowni, grosz szczęśliwej śmierci dla górnika w kopalni.

Lecz bunt głodnego i poniewieranego górnika okazał się silniejszym, niżli zakusy klerykałów. Światło zbawienia, walki przedzierało wytrwale mroki ciemności. Przybyło kilka niezmordowanych jednostek, które z całym poświęceniem oddały się pracy nad wyzyskiwanymi górnikami.

Z pruskiego Śląska przychodziła gazeta „Postęp“ i roznosiła wokół światło, zachętę do organizacyi, do walki! Sporo rozchodziło się pism czeskich. Nowy prąd szerzył wśród górników zainteresowanie, ale też wywoływał wściekłość u wrogów. Ze zdwojoną energią rzucali się na każdy przejaw budzącej się świadomości górnika. Podbechtywali niskie instynkta, kłamstwem zagrzewali do walki.

Pamiętam z tych czasów wypadek następujący: W roku 1893 przyjechał do Mor. Ostrawy tow. Cingr, by się porozumieć z górnikami, mężami zaufania i zobaczyć się z nimi na Fifejdach Tymczasem klerykali, dowiedziawszy się o tem, w całym rewirze z kazalni tumanili górników w ten sposób, że ma przyjechać do rewiru strasznie zepsuty

człowiek i poprowadzić ich ma na zgubę. Wielu górników uwierzyło w to, że patrząc na Cingra, widzą diabła przed sobą. Z obawy wielu nie chciało na przywitanie ręki podać, rozmawiając z nim tylko z daleka.

Czas koło i po roku 1893 był do pewnego stopnia przełomowym. Kończył się okres chodzenia po omacku i zaczęła się era świadomego, konsekwentnego zmierzania do celu. Górnicy odczuwali, że trzeba solidarnie postępować. Na razie jednak solidarność w klerykalno-kapitalistycznych organizacjach była im wystarczającą. Ksiądz, umiający dobrze tumanieć, inżynier sprytny, ci mogli łatwo pociągnąć za sobą robotników.

Wychowani w biedzie i ciemnocie nie umieli dobrze rozróżniać czystej i niesfałszowanej walki od bałamutnej i podstępnej intrygi. Przyzwyczajeni do ciężkiej roboty w kopalni, zwłaszcza starsi, poczynali powoli zgadzać się na istniejące stosunki. Ludzie ci nie mogli zrozumieć dokładnie celu, zadania i potrzeby organizacji. Łączyli się ostatecznie z organizacją, kiedy zbliżał się ruch zarobkowy. Po skończonym ruchu — następował zastój. Porzucali organizację i pędzili z powrotem żywot nędzny i marny. Trudności wielkie trzeba było zwalczać, zanim w mózgu takiego robotnika zrodziło się przekonanie, że trzeba być stale w organizacji, a nie tylko w ruchu zarobkowym.

Każdy przyzna, że tam, gdzie dziesiątki lat nad ogłupianiem ludu pracował kler i

kapitał, tam trudno w krótkim czasie gruntowną przeprowadzić zmianę.

A zresztą praca i skutki działalności organizacyi niestałej nie mogły być wielkie i bijące w oczy.

Początkowe działanie stałej pracy organizacyjnej.

Początku stałego ruchu organizacyjnego dla górników szukać należy z obecnianiem pierwszego zjazdu górniczego w Wiedniu 7, 8 i 9 grudnia 1890 r., gdzie z ostrawsko-karwińskiego rewiru było 18 delegatów. Zaraz po zjeździe zostało wydane pismo dla Górników i Hutników „Na Zdar“, które wychodziło w Pradze. W pierwszym numerze „Na Zdaru“ z 22 stycznia 1891 już był opis zjazdu i artykuł o porządkach w rewirze.

Dnia 4 grudnia 1892 r. zostało zwołane pierwsze zgromadzenie górnicze do gospody p. Kubalowej, na którym tow. Cingr jako redaktor „Na Zdaru“ referował o potrzebie założenia organizacyi zawodowej dla górników.

Drugie zgromadzenie odbyło się 2 kwietnia 1892 r. „pod Kulą“ w Ligołce, na którym było około 5000 górników obecnych. Na tem zgromadzeniu referował ponownie tow. Cingr. Dnia 5 października 1893 r. przesiedlił się tow. Cingr do Mor. Ostrawy, poczem zaraz wyszedł pierwszy numer pisma zawodowego „Odborne Listy“. Dnia

29 października 1893 odbywało się pierwsze walne konstituujące zgromadzenie założonej zawodowej organizacyi dla górników, zwanej „Prokop“ przy uczestnictwie około 1000 górników. Przewodniczącym wybrano tow. Cingra. Wysokość wkładki ustalono na 30 centów miesięcznie. „Odborne Listy“ uznane zostały jako organ „Prokopa“. Z końcem 1894 r. miało stowarzyszenie „Prokop“ 9000 członków. Panowie razem z klerykałami, widząc rozwój organizacyi, używali wszelkich ziemskich i podziemnych środków, by uniemożliwić rozwój młodej organizacyi; doszli tak daleko, że w Ostrawie niejaki P. Tomasz Kubiczek założył na spółkę z księdzem Szpiczką klerykalne pismo zawodowe „Zajmy Delnictwa“, a redaktorem tego pisma został znany Łukaszczyk.

Już w r. 1894 w manifestacyi majowej wzięło udział około 13.000 górników. Dnia 2 maja tegoż roku wybuchł strejk na kopalniach hrabiego Wilczka, który objął 10.000 górników. Strejkujący żądali wprowadzenia 8-godzinnej szychty, podwyższenia zarobku o 25% i usunięcia brutalstwa ze strony dozorców. Dnia 9 maja zgromadzili się górnicy na drodze koło szybu „Trójca“ w Polskiej Ostrawie, z powodu gwałtu, jakiego dopuścił się nadinżynier Czyżek tem, że chcąc gwałtownie strejk złamać, wpędził pod osłoną żandarmów 40 górników do szybu. To górników strasznie roz-

gniewało i chcieli się naocznie przekonać o prawdziwości tego czynu. Kiedy się górnicy zbliżyli na 100 kroków do szybu, na komendę wachmistrza żandarmów Mark'a, 8 żandarmów dało salwę do górników. Dwunastu górników i jeden 8-letni chłopiec zostało zabitych na miejscu, a 16 ciężko pokaleczonych. Strejk potrwał 17 dni t. j. aż do 19 maja.

Dopiero 1. września 1894 został wprowadzony 10-godzinny dzień roboczy dla robotników w kopalni.

Pierwsze koła miejscowe stow. „Prokop“ założone zostały w roku 1894 w jesieni w Dąbrowej, Michałkowicach, Orłowej, Radwanicach, Zabłociu, Sobiszowie i Polskiej Lutyni. Zaś rok później powstały w Karwinie, Hermanicach i Dol. Będowicach.

Z powodu brutalności inżyniera Hobina i Pfoła wybuchł 24. lutego 1896 strejk w Karwinie, który się rozszerzył wkrótce na cały rewir. Strejkujący domagali się tygodniowych wypłat i większego zarobku, jakoteż usunięcia brutalnego zachowania się urzędników i dozorców wobec górników. Strejk skończył się 24. marca. Po strejku wydano gwałtownie około 120 górników, przeważnie mężów zaufania.

Wyjątkowe to były czasy dla górników; czego nie mogli dokonać klerykali i przeciwnicy organizacyi, to robił rząd przez zaka-

zywanie zgromadzeń i zagrożenie odbiorem koncesyi tym gospodzkim, u których w lokalach odbywały się zgromadzenia. Takie rozporządzenie trwało przeszło sześć miesięcy i dopiero na skutek interpelacyi w Radzie państwa zostało usunięte.

W roku 1897, dnia 4. czerwca został odsłonięty sztandar górniczej organizacyi, przy udziale tysięcy górników z całego zagłębia, w parku pod Lipą w Mor.-Ostrawie. Następnie założono nowe koła miejscowe stow. „Prokop“ w Witkowicach, Szumbarku, Średniej Suchej, Mar. Górach i Muglinowie.

Z powodu brutalnego postępowania inżyniera Vowsa na szybie „Karolina“ wybuchł 2. stycznia 1900 strejk, który się wkrótce rozszerzył nietylko na cały rewir ostrawsko-karwiński, lecz i na inne rewiry w Austrii i objął przeszło 70.000 górników. Strejk ten zmusił rząd do wprowadzenia w drodze ustawy 9-godzinnego dnia roboczego dla górników pracujących w kopalni, a przedsiębiorcy przyrzekli podnieść zarobki o 12 %. Przedsiębiorcy po ukończeniu strejku, który trwał 11 tygodni, zemścili się na górnikach, wyrzucając z pracy około 300 delegatów i mężów zaufania. Zapomóg podczas tego pamiętnego strejku wypłacono 437.073 K 56 h. Na kwotę tą złożyły się przeważnie datki górników, nadesłane z innych państw. Po strejku upadła organizacja tak, że w „Prokopie“ zostało tylko 600 członków. W tym

czasie założoną została w karwińskim rewirze dla polskich górników „Siła“, która miała te same zadanie co „Prokop“, jednak że z zastosowaniem polskiego prowadzenia administracyi i kształcenia członków w polskim języku. Dla polskich górników wychodziło pismo „Równość“, którą podczas strejku zamieniono na dziennik.

Dnia 2. czerwca 1901 odbyło się walne zgromadzenie nowo założonej „Unii górników“ dla Śląska, Morawy i Galicyi. Ta nowa organizacya przyjęła członków i majątek „Siły“ i „Prokopa“. Po dwóch latach, to jest 23. maja 1903 powstała obecna „Unia górników“ w Austryi, do której przeszła Unia dla Śląska, Morawy i Galicyi tak z majątkiem, jako też członkami, którzy zatrzymali nabyte prawa w dotychczasowej organizacyi. W powyższem zestawieniu historycznem są wyszczególnione tylko najgłośniejsze wypadki. Na bliższe poznanie panujących w tym czasie stosunków potrzeba by napisać sporą książkę, by mógł dokładniej nakreślić, w jakich warunkach górnicy żyli, pracowali i walczyli i jakie koleje przechodzić musieli, aż do obecnych stosunków, które są złe i wymagają gwałtownej naprawy.

Historya ta pozostawia nie tylko pamiątkę walk ekonomicznych i oświatowych górników, lecz krwawą tragedję mordu kapitalistycznego, spowodowanego tak masowem jak i pojedynczem mordowaniem górników po kopalniach i przez bagnety żandarmskie.

Katasrofy w rewirze ostrawsko-karwińskim.

Jest rzeczą niemożliwą, w niniejszym opisie zarejestrować wszystkie pojedyncze nieszczęśliwe wypadki, przy których górnicy w kopalniach rewiru ostrawsko-karwińskiego życie stracili. Dość powiedzieć, że wyobrazić sobie można ogromne cmentarzysko z poległymi górnikami w kopalni, których spotkała przy pracy śmierć. W masowych wypadkach zginęło od roku 1854 aż do roku 1903 658 górników, drugie tyle w pojedynczych wypadkach.

Masowe nieszczęścia wydarzyły się w następujących latach:

W roku 1854 wskutek eksplozyi gazów na szybie „Karolina“ w Mor.-Ostrawie zabiło 14 górników.

W roku 1856 na szybie „Gabryela“ w Karwinie z tego samego powodu zabiło 17 górników.

W tym samym roku na „Salmie“ w Pol. Ostrawie zabitych zostało 7 górników.

W roku 1857 zabiło u hrabiego Larysza w Karwinie 7 górników.

W roku 1858 zabiło taksamo na szybie Larysza 7 górników.

W roku 1859 5. stycznia zabiło na „Salmie VII“ w Pol. Ostrawie wskutek eksplozyi 15 górników.



W roku 1862 zabiło na szybie Rothschylda 6 górników.

W roku 1864, 1. czerwca zabiło na „Salamonie“ w Mor. Ostrawie 4 górników.

W roku 1867, 10. maja wskutek eksplozyi na szybie „Salma“ w Pol. Ostrawie straciło życie 7 górników.

W tym samym roku 29. lipca na szybie „Głęboki“ w Witkowicach wskutek eksplozyi gazów zabiło 53 górników.

W roku 1873 zabiło na szybie „Müh-sam“ w Orłowej 6 górników.

W roku 1874 na szybie kolei północnej 5 górników znalazło śmierć.

W roku 1875, 20. maja wybuch gazów na szybie „Emma“ spowodował śmierć 6 górników.

W roku 1878, 17. kwietnia przy wybuchu na szybie „Zwierzyna“ zabiło 13 górników.

W roku 1884, 16. lutego na szybie „Salma VII“ zabiło 4 górników.

W roku 1884, 24. czerwca na szybie „Wilemce“ w Pol. Ostrawie otruci zostali duszącymi gazami 4 górnicy.

W tym samym roku 8. października wskutek eksplozyi gazów na szybie „Emma“ zabiło 20 górników.

W 1885, 6. marca wskutek eksplozyi na szybie Jana hrabiego Larysza w Karwinie zabiło 110 górników i jednego dozorcę.

Tego samego roku 26. marca na szybie „Bettina“ w Dąbrowej wskutek eksplozyi gazów zabiło 58 górników.

W roku 1887 na szybie „Zofia“ w Porębie zabiło 14 górników.

W roku 1888, 5. kwietnia wskutek wybuchu gazów na szybie „Zwierzyna“ zabiło 11 górników.

W roku 1888, 14. kwietnia na szybie „Głęboki“ w Witkowicach wskutek eksplozyi gazów zabitych zostało 9 ludzi.

W roku 1891, 3. stycznia przy eksplozyi gazów na szybie „Trójca“ zabiło 60 górników i jednego dozorcę.

W roku 1894, 14. czerwca przy straszliwej eksplozyi na szybie Jana hrabiego Larysza w Karwinie **zabiło 335 górników a 25 ciężko poraniło.**

W roku 1895, 16. marca na szybie „Hohenergera“ w Karwinie wskutek eksplozyi zabiło 52 górników i 2 ciężko zraniło.

W roku 1896 przy wybuchu gazów na szybie „Hermenegild“ zabiło 16 górników a 18 ciężko zraniło.

Po strasznej katastrofie u hrabiego Larysza w Karwinie musiano przecież wprowadzić pewne ostrożności do kopalni; zakazano więc częściowego strzelania w węglu, i tym sposobem ograniczono cośkolwiek te straszliwe mordy, pochłaniające dziesiątki górników.

Nie sposób podać bliższych szczegółów wyżej wymienionych masowych nieszczęść, gdyż brak wielu ścisłych wiadomości o takich, a także ta szczupła książka na to nie pozwala.

Pozwolę sobie jednak na krótki opis dwóch największych eksplozyi w roku 1885 i 1894 na szybie „Jana“ w Karwinie i na szybach arcybogobojnego hrabiego Larysza, których byłem naocznym świadkiem, gdyż w roku 1894 tylko cudem podczas katastrofy zdołałem uratować życie.

Katastrofa 6. marca 1885 na szybie „Jana“.

Brak uświadomienia pomiędzy górnikami nieokiełzane lizuństwo, korupcyja i szachrajstwa gnieździły się przeważnie na szybach Laryszowych w Karwinie. To wszystko wprowadziło nieporządki na szybach Laryszowych do tego stopnia, że urzędnicy kopalniani wcale nie zjeżdżali do kopalni, albo czynili to rzadko. Brak dozoru ze strony kierujących kopalnią urzędników, pozwalał niższemu, stygarom i dozorcóm na wszelkiego rodzaju nadużycia. Stygarzy wcale o to nie troszczyli się, kto jest na szychcie lub nie, zaniedbując systematycznie zapisy przed rozpoczęciem szychty. Cała ta manipulacyja kopalniana spadała przeważnie na barki dozorców, którzy w swoich kieszonkowych notatkach prowadzili ewidencyę załogi. Sty-

garze albo się wcale nie zjawiali na kopalni, albo tylko zjeżdżali na dół do zbiorowego miejsca i tam przesiadywali przez cały czas z dozorcami.

W nocnych zmianach nie zjeżdżali wcale do kopalni, bądź spali w domu, albo w ukryciu w lokalach maszynowych. Naturalnie że i sami dozorczy wskutek przemęczenia się pracą i ogromną odpowiedzialnością za wszystko, albo nie byli w stanie podolać wszystkiemu, albo wskutek takiej samej lekkomyślności, nie będąc sami przez nikogo dozorowani, zaniedbywali swój obowiązek. Jednemu dozorczy wówczas przydzielano do dozoru i rozdzielania do poszczególnych prac 100 do 150 robotników. Czynność dozorców polegała po największej części na tem, że po zjeździe do kopalni przychodzili na pewne przeznaczone miejsca, bądź pod pochylniami lub na głównym rozdziale chodników do pojedynczych pokładów, tam robotnicy na nich wyczekiwali i następował rozdział roboty i wydawanie potrzebnych narzędzi do przeznaczonych prac. Równocześnie zawiadamiali robotników, że w razie potrzeby zarządzenia jakiegoś ze strony dozorczy, należy się tam, albo w owe miejsce udać, gdyż tam się znajdować będą dozorczy. Miejscami dla wysiadzania dozorców były miejsca cieplejsze w starych chodnikach, w których dozorczy swoje kryjówki mieli.

Naturalnie, że każdy może sobie przedstawić, jakie porządki za takiego dozoru

mogły być w czołach napełnionych palnemi gazami, gdzie robotnicy dowoli strzelali tak w węglu jak i w kamiennych pracach.

Zaznaczam, że wtenczas każdy robotnik otrzymywał dla swej potrzeby materiału strzelniczego tyle ile chciał. Na szybie „Jana“ w IV poziomie prowadził od szybu główny chodnik tak zwany (Querszlag) kilkaset metrów długi, który się kończył tak zwanem „Gesenkem“. Około 30 metrów w górze nad tym „Gesenkem“ był pokład niski około 90 cm do 1·20 wysoki, ogromnie twardy, jednakże dla kapitalistów bardzo korzystny, gdyż był to jedyny wtenczas pokład nie tylko u hrabiego Larysza, lecz w całej Karwinej, albowiem z węgla tego można było koks prażyć.

Wróćę jeszcze do owego „Gesenu“ przez który cały fiedrunek z tego pokładu puszczano. „Gesenk“ ten był także świadkiem ówczesnej niezdolności panów do prowadzenia kopalni i środkiem do spekulacyi, by ciągnąć prędzej korzyści z węgla, niżeli sama przyroda na to pozwalała. Zamiast bicia jeszcze jakie 100 albo 150 metrów poziomem głównego chodnika, by pokład dostać, lub do niego przebić w tym samym położeniu, co byłoby tak korzystniejszem dla fiedrowania jak i dostępu powietrza, zastawiono bicie Querszlagu i szukano węgla w górze za pomocą „Gesenu.“ Naturalnie kiedy trafiono na pokład, żadnemu ani się śniło, że wydobywanie węgla z tego pokładu na

zawsze będzie utrudnione, lecz jeszcze gorzej było z powietrzem. Pędzenie powietrza w kopalni choćby jak silnemi maszynami, natrafia na wielkie trudności do prac w kopcach położonych, a mianowicie przeciwdziała temu druga część powietrza kopalnianego, które zawsze napełnia wyż położone miejsca. To też wspomniany pokład był prawdziwym piekłem dla górników. Jeżeli zważymy, że jedyny dopływ zdrowego powietrza prowadził przez „Gesenk“, w którym także bez przerwy fiedrowano, to musimy przyznać, że pokład ten był pełny gazów.

W pokładzie pod dozorem dozorczy Swaczyny pracowało razem 120 górników. W czołach, pomimo gazów, wszędzie strzelano, a jak sami robotnicy opowiadali straszliwa to była strzelanina. Przed każdym strzałem zbierali się robotnicy w czołe, brali do ręki odzienia lub fleki (skóra, którą kopcze noszą z tyłu) i w ten sposób „robiono“ przez pewien czas powietrze, a jeden prędko zaprawiał strzał. Kiedy strzał zapalono, dopiero wszyscy z czoła odchodzili. W tem chwilowem niby czystem powietrzu miał strzał eksplodować. Naturalnie była to ogromnie niebezpieczna gra. Że praca w tym pokładzie i dla panów nie była bezpieczną, dowodzi to, że dozorca Swaczyna miał specjalny nakaz z pokładu tego nie wydalać się. W takich warunkach pracy musiało dojść do tego, że z 5. na 6. marca 1885 w nocy około 1. godziny nastąpił straszny wybuch

który zaalarmował mieszkańców Karwiny. Cała załoga pokładu zginęła razem z dozorcą Swaczyną, z wyjątkiem kilku narażaczy, którzy byli blisko wspomnianego „Gesenu“ i zostali ciężko pokaleczeni.

Jak straszliwy i silny był ten wybuch, świadczy ta okoliczność, że do szybu „Henryka“, w którym wychodziły gazy i powietrze zapomocą wentylatora, na dole wyrzuciła siła pełny wózek węgla na 20 metrów w górę, który następnie zawisł na drewnianych lagrach szybu. Zaś na wierzchu nadkrycie szybu (jakie na szybach wiatrowych, bywa a jest to ogromny kocioł wielkości szybu, napełniony wodą, zawieszony na 4 żelaznych słupach, umyślnie dla tego, by podczas wybuchu z szybu tylko się to podniosło i znów nazad spadło, by tym sposobem nie zmienić prądu powietrza i górników w kopalni się znajdujących nie podusić) zostało gwałtownie wraz z żelaznymi słupami oderwane i około 100 metrów od szybu odrzucone. To było także powodem, że górnicy, którzy nie zginęli od siły wybuchu, zostali uduszeni wskutek braku powietrza.

Przy wydobywaniu potem trupów skonstatowano to najlepiej, gdy znaleziono około 20 górników razem z dozorcą Swaczyną, tuż blisko miejsca do Gesenu, trzymających chustki, kamizelki a nawet koszulę w rękę, zapomocą których robili prąd powietrza, by się uratować. Ratunek utrudniała jeszcze ta okoliczność, że wówczas górnicy używali

ampek olejowych, których nie można było zaświecić zaraz, więc biedacy ci musieli po ciemku się ratować, jednakże zginęli przez uduszenie się.

Charakterystycznym było po katastrofie, to, że panowie niemieli najmniejszego pojęcia, ilu górników zginęło. Stygar Weiberg, Czech, pijanica niewiedzia! o niczem, bo już kilka dni nie prowadził żadnego zapisu. Dozorca Swaczyna zginął razem z całą załogą a po znalezieniu jego trupa niemożna było jego szychtowej książki odszukać. Suma podanych i wydobytych trupów górniczych nie zgadzała się i żaden urzędnik nie odważyłby się zaprzysiądz, że górnicy wszyscy zostali wydobyti. Świadczy o tem ta okoliczność, że po pewnym dość dłuższym czasie przy przerabianiu załamanych chodników w tym pokładzie, znaleziono ciało, a raczej kości ludzkie, które cichaczem w nocy pogrzebano, pomimo, że według pańskiego podania, wszystkie trupy miały być pogrzebane na cmentarzu.

Mord ten zostawił po sobie długą pamięć pomiędzy pozostałemi wdowami i sierotami, lecz krótką u Laryszowych urzędników i także u samych szczególnie młodszych górników, którzy po katastrofie do pracy wstąpili.

* * *

Za 9 lat nastąpiła na tym szybie druga jeszcze większych rozmiarów katastrofa, o której chcę niżej opisać.

Wspomnienie wielkiej katastrofy kopalnianej z r. 1894 w Karwinie.

Zdobycie 19-go pokładu przy pogłębieniu szybu „Jana“ w Karwinie napełniło urzędników kopalnianych prawdziwą radością. Obliczali dniem i nocą w kancelaryach kopalnianych zyski, jakie z tego pokładu kopalnia ciągnąć będzie. Po dostaniu się na 6. poziom i przebicie pokładu około 4 m. grubego, który był przedzielony prawie w połowie swej grubości niedojrzałym jeszcze węglem, tak zwanym mitlem, rozpoczęli z największym pośpiechem możliwym w górnictwie, przy pomocy strzelania, bić główny chodnik, w celu otwarcia całego pokładu, podchodząc tenże w upadzie. Toż samo działo się ze strony szybu Franciszka, gdzie odkrywali znów ten sam pokład w kopcu. Ówczesny dyrektor górniczy hrabiego Larysza, rodem francuz p. Grey zarządził tego rodzaju pracę na trzy zmiany w tygodniu, zaś w niedziele całe masy górników zmuszano do pracy uzupełniającej w tym pokładzie.

Nie upłynęły ani całe dwa lata tej szalonej pracy, a pokład przewiercono tak chodnikami, że rzadko znaleziono filar grubości 20 metrów. Zapoczęto od strony odłączającej pokład od kamienia czyli od t. zw. szprągu rabowanie filarów, tak ze strony szybu Jana jak i Franciszka. Ogromna grubość pokładu, gęste wiercenie w różnych

kierunkach rozmaitymi chodnikami, brak uświadomienia i organizacji pomiędzy górnikami zamienił wspomniany pokład na prawdziwą kopalnię złota. Dwaj kopacze we filarze wydali za 10-godzinną zmianę 50 - 60 wózków pojemności 12 metr. centr. Za taki wózek płacono początkowo 16 ct. a później 12. Częściowo dosyć dobry zarobek i dla kopaczy łączył się jednak z ogromnym zyskiem ze strony przedsiębiorstwa, które dusiło wszelkie zastanowienie się nad tem, do czego taka praca doprowadzić może. Pan radca górnicy Grey, który był zarazem doskonałym myśliwym i rybołowcą, zadawałniał się tem, gdy urzędnicy podczas raportu głosili: „Fedrunek w 19 pokładzie podniósł się o 50 wózków“. Brawo, moi panowie mówił pan Grey. Tak kończył się raport. Szalejący za zyskiem przedsiębiorcy i inżynierowie nie chcieli ani zastanowić się nad tem, co nastać może w otwartym pokładzie rozciągającym się na 6 kilometrów w kwadrat. Olbrzymie pole napełnione było po wyrabowaniu węgla palnymi gazami i w niektórem miejscu pół metra grubości siarkowym pyłem węglowym. Nikomu z tych panów ani się śniło, by wyrabowane pole zawieść, замуrować odpadkami węgla, lub skropić pył węglowy wodą. Po wyrabowaniu filara, rozkazywano rabowanie jeszcze niepołamanego drzewa, tak z anych orgli, chcąc jeszcze i tym sposobem oszczędzać w kopalni, a z drugiej

strony czekamo na to, by wybrane pole co najprędzej zawaliło się bez kosztów, zapełniło próżne napełnione gazami miejsca. Każdy górnik wiedział dobrze, że tym sposobem zapełnianie miejsc powoduje jeszcze większe niebezpieczeństwo, gdyż 4 metrowej grubości wybrane pole, przyrodzonym sposobem u dołu zawala się i zapełnia wybrane miejsca, jednakże u góry zostawia próżne zapełnione gazami miejsca, które z natury zawsze jako lżejsze od powietrza zdrowego, gromadzą się bądź w kopcach lub wyrwanych wyższych miejscach. Kilka wypadków zdarzającej się eksplozyi w pojedynczych czołach niezwraçało wcale żadnej uwagi urzędników kopalnianych.

Katastrofa 14. czerwca 1894.

Nadszedł pamiętny dzień 14. czerwca. Po gorącym pół dniu cisnęli się górnicy do szybu do zjazdu na dół na południową zmianę koło 4-tej godziny popołudniu, by się ochłodzić w głębokościach chłodnej kopalni. Nieprzeczuwali najmniejszego nieszczęścia. Załoga we wspomnianym pokładzie 19-tym składała się z przeszło 200 górników, przeważnie młodszego wieku, śmiałych powybieranych robotników. Jeden za drugim pociąg pełnych wózków ciągniętych końmi dobijano pod szyb Jana 6-tego poziomu z 19-tego pokładu. Najzwawszy robotnicy, jako nasuwacze wózków do klatki, zwiłali się z największym pośpiechem, gdyż dozorca dał

nakaz, że musi dziś o 50 wózków więcej wyfiedrować.

Koło pół do 10-tej wieczór naraz dał się słyszeć ogromny huk wstrząsający całą kopalnią, przerażając nas wszystkich swym łoskotem połączonym ze zupełnem przerwaniem chwilowem prądu powietrza. Pracujący po drugiej stronie szybu na polu wschodniem, rzuciliśmy się po ciemku (gdyż nam huk lampy pogasił) do ucieczki, lecz każdy zrozumie, jak daleko można bez światła w kopalni uciekać... Omawiając rozmaity powód słyszanego straszliwego huk u dodrapaliśmy się na główny chodnik wiaący pod szyb. Napotykamy rewirowego dozorcę, który tak samo pyta, co się stało, gdy i jemu straszliwy huk podziemny i gwałtowna detonacya były zupełnie niezrozumiałe. Mając na szczęście światło, gdyż dozorca był już poniekąd zaopatrzeni w lampki, które było można po zagaszeniu na miejscu zaświecić, górnicy mieli lampki olejowe, podążyliśmy ku głównym drzwiom oddalonych o jakie 20 metrów. Zbliżywszy się do wspomnianych drzwi, dał się już uczuć ogromny nieznośny swęd dymu jakiegoś rzadko górnikowi znajomego. Z wielką ostrożnością dozorca otwiera drzwi, gdzie przy otwarciu owiał nas czarny kłęb dymu, zatykając nam usta i tamując oddech. Dopiero teraz zrozumieliśmy, że jest to widoczną oznaką katastrofy, na razie niemożliwą do osądzenia, gdzie i w jak wielkim rozmiarze powstała. Ogromnie

przerażeni, zostaliśmy chwilę zamyśleni, co teraz czynić, gdyż ucieczka pod szyb została nam tym sposobem odcięta. Została nam jeszcze jedna stara pochylnia do dyspozycji i jedyna droga do ucieczki. Chcąc się dostać pod tę w tej chwili szczęśliwą pochylnię musieliśmy wrócić nazad od szybu jakie 500 metrów, któreśmy przebiegli prędej, aniżeli może ptak byłby wstanie przelecieć. Stanąwszy pod pochylnią, której długość wynosiła przeszło 800 metrów, a w której drzewo zabudowania było połamane, wszędzie zaś pełno kamieni, z trudem wielkim dostaliśmy się do 5 tego poziomu. Pomimo tych przeszkód, jak i położenia pochylni, gdzie zmuszeni byliśmy ciągle w górę uciekać, w 5-tym poziomie pod szybem Karola. Do szybu Jana trudno było się dostać, gdyż nie tylko dym wydobywający się z głębi 6-tego poziomu tamował drogę, lecz wyrzucony pełny wózek z węglem do szybu siłą eksplozji a rozpierający się pomiędzy zabudowaniem szybowem, uniemożliwiał pośpieszne wydobywanie się na wieszach ratujących się górników. Ponieważ w tym poziomie już dozorca mieli bliższe wyjaśnienie, że nic innego stać się nie mogło jak tylko eksplozja gazów w 6-tym poziomie, panika była nie do opisania. Każdy chciał być pierwszy w klatce i na wierzchu. Bez jakiegokolwiek uwzględnienia przepisanej ilości pakowano do klatki, ile tylko zmieścić się mogło. Za

kilkadzieśiat minut byliśmy na wierzchu, od-
dychając świeżem powietrzem.

Dalsza sytuacja.

Lotem błyskawicy, pomimo, że był to późny wieczór, detonacja wywołała nietylko wszystkich urzędników z ich pomieszczeń, lecz poprzychodzili górnicy z kolonii Sowińca o ćwierć godziny drogi oddalonej od kopalni, jedni zobaczyć, co się stało, drudzy, by ratować, jeżeli będzie potrzeba.

Ponieważ już jednak za prawdopodobne uznano, że wybuch nastąpił w 6-tym poziomie, do którego dojazd bezpośredni tylko szybem Jana był możliwy, przeto koło szybu Jana zgromadzonych było setki osób, tak mężczyzn jak i płaczących kobiet. W mgnieniu oka nadszedł rozkaz udania się do kopalni w celu niesienia pomocy. Dostawszy świeżą lampkę nie myśleliśmy o niczem innem, jak tylko o ratunku; pojechałem szybem Jana nazad do kopalni. Zjechawszy na dół, musieliśmy czołgać się kilka metrów wdół po zabudowaniu szybowem, gdyż z klatką nie było można dojechać na sam dół, ponieważ wyrzucony wózek pełny do szybu do wierzchu uniemożliwiał to.

Zaczółgawszy się na dół (dym po wybuchu już się uniół z powietrzem), spostrzeegliśmy, że czterech naciskacz pod szybem brakuje; jeden z nich pół martwy siedział już całkiem bez jakiejkolwiek nadziei

po między stemplami, trzymając się kurczo-
wo stempla, okurzony pyłem węglowym, nie
mógł słowa wypowiedzieć. Trzech brako-
wało. Kiedyśmy się zapytali, co się stało,
gdzie ma kolegów, odpowiedział cichym
głosem, że nie wie, co się stało i że nie
wie, gdzie koledzy. Tu poznaliśmy, że trzech
towarzysze zostali zmieceni siłą wybuchu
70 metrów do głębi szybu na 7. poziom.

Wydobycie jednego żywego górnika po
wybuchu dodało odwagi innym górnikom i
urzędnikom, by jechać na dół ratować, gdyż
przypuszczano, że może więcej jeszcze gór-
ników znajdować się będzie przy życiu.

Nie upłynęło jednak całej pół godziny,
a znajdowało się nas znów koło 50 z do-
zorcami i urzędnikami w kopalni w miejscu
katastrofy, gdzie jedni mieli się udać z przy-
rzadami do cucenia omłdałych do czół,
gdzie robotnicy pracowali w miejscach koło
500 do 600 metrów oddalonych od szybu;
drudzy znów mieli się udać do 7. poziomu,
wydobywać już trupy brakujących z pod
szybu trzech narażaczy. Każdy z nas z go-
towością największej ofiary rozmyślał nad
tem, jakie szczęście dla niego będzie, jeżeli
zdoła chociaż jednego górnika z pola kata-
strofy uratować. Każdy myślał o tylu ojcach
rodzin, bratach, kolegach i dobrych znajo-
mym, którzy w otchłani śmierci się znaj-
dowali.

Takim samym sposobem rzucono się
na ratunek ze zachodniej strony na szybie

Franciszki i Głębokim, gdyż te szyby były połączone z sobą przebitymi chodnikami. Na szybie Franciszki pod komendą szychtmistrza Kurca tem śmieiej udano się na ratunek w liczbie koło 40 osób, gdyż detonacya nie była tam tak silna, jak na szybie Jana. Tak samo udano się ze strony szybu Głębokiego, gdyż z tej strony pracowali w tym pokładzie górnicy.

Naraz dała się słyszeć ponowna detonacya i zupełna przerwa prądu powietrza, który był o wiele silniejszym, jak zwyczajnie. Zostaliśmy przerażeni, co znów się stało, lecz ani na chwilę nie przypuszczaliśmy, żeby możliwa była jeszcze eksplozya lub jakie inne zjawisko niebezpieczne w kopalni. Dopiero za pewien czas, kiedy zjechały nowe pomocne siły, kiedy kilku nas wróciło z miejsc najbliższych, gdzie robotnicy najbliżej pracowali z oznajmieniem, że na kopalni są wszyscy już nieżywi, również że nie ma żadnej nadziei ratunku -- dowiedzieliśmy się, że nastąpił nowy wybuch, który większe spustoszenie wyrządził na zachodnim polu szybu Franciszki. Myśmy na szybie Jana ocaleli, tylko w uszach załęgło nam do tego stopnia, że długi czas zostaliśmy głusi. Zaś na szybie Franciszki wybuch drugi dopadł wszystkich górników razem z urzędnikami, spieszącymi na ratunek, zabijając w wszystkich na miejscu.

To wszystko nie potrafiło nas odstraszyć od dalszej pracy, by, jeżeli już pomoc

jakakolwiek była zbyt dużą, przynajmniej co najprędzej zając się wydobywaniem trupów na wierzch. Naszą odwagę wzmacniała jeszcze i ta okoliczność, że pomimo, iż już byliśmy świadkami dwóch, krótko po sobie następujących eksplozyi, nie przedstawiał sobie żaden, z jakiego powodu one powstały, lub jeżeli jeszcze się powtórzą. Nawet urzędnicy z samym bergratem straciwszy chwilowo głowę, nie przeczuwali nic innego, jak tylko zwykłą eksplozyę gazów. Sam bergrat Grey zjechał do szybu, by na własne oczy widzieć spustoszenie, które przeważnie spowodowała jego lekkomyślna manipulacya i zaprowadzona rabunkowa gospodarka na szybach Laryszowskich. Po drugiej eksplozyi, kiedy poczuł p. Grey świst powietrza, zmiarkował, że coś złego się dzieje, prędko kazał się wywieść na wierzch, zostawiając nas na pastwę losu.

Zatrwożeni, dzieląc się na grupki po 4 do 5-ciu, chwytałyśmy się rzeczywistej pracy robienia sobie wolnych przejazdów kolejką, która po wybuchu została zawałoną przez spadające kamienie. Inni znów rozgarniali ogromne zawały na głównym chodniku, wiodącym do 19-tego pokładu, by móc zabić tych kolegów tem łatwiej przeprowadzić pod szyb. Smutna to była praca, gdyśmy doszli do pierwszych stosów zwęglonych zwłok, nie mogąc ich zaraz zabrać, gdyż przed zawałami i grożącym jeszcze większym zawałeniem, praca dla nas była ogromnie niebez-

pieczna. Wszystko zabudowanie było już wybite, główny chodnik przedstawiał się jak zasmolony kanał, napełniony swędem, dymem duszącym z jakby opalonych zgłiszczy, w których nie było można rozpoznać trupa zabitych i zwęglonych górników. Trwoga przejęła każdego, gdyśmy przeczołgali się na czwórkach przez ogromny zawał jakie 500 metrów od szybu pod główną pochylnię, po której spuszczano niedaleko cały fiedrunek z tego pokładu. Pod pochylnią znaleźliśmy koło 20 wózków zbitych w jeden wielki stos, pomiędzy którymi sterczały dwa zabite konie i kilka trupów ludzkich bez nóg i rąk, bezkształtne masy ciała ludzkiego. Z pochylni wydobywał się ogromny dym, uniemożliwiając nam oddech, co nas też upewniało w przekonaniu, że żaden już w kopcu w pracach żyć nie może, gdyż przemurowania, oddzielające powietrze, które dochodziło do miejsc prac, całkiem były zdemolowane i żadne powietrze tą drogą przeznaczoną nie szło, więc kto nie zginął od wybuchu, ten zginął od uduszenia, bądź dymem lub brakiem powietrza.

Dym, gwałtownie z pochylni buchający, przeraził nas ogromnie, zwłaszcza, gdyż obecny z nami jeden nadsztydar wykrztusił: uciekajmy, bo tam w kopcu musi się palić. Było nas koło 15-tu, lecz po tych słowach żaden nie chciał być ostatnim. W największym pośpiechu poczęliśmy wracać do szybu nazad. O ucieczce mowy nie było, gdyż

zawalenia i powywracane stemple uniemożliwiały nam takową.

Za jakie 20 minut dobijają pod szyb, przełaząc po brzuchu największe zawalenia, niedaleko szybu dał się słyszeć silny głos: „co najprędzej wszystko na wierzch, taki przyszedł rozkaz“. Niewiedzieliśmy, co to ma znaczyć. Nastął popłoch nie do opisania, gdyż wszyscy naraz chcieli wleźć do klatki i być najprędzej na wierzchu. Szczęśliwie wydobyto nas na wierzch koło pół do 7-mej rano. Urzędnicy, stojąc gromadnie, gwarzyli w niemieckim języku, którego i tak żaden zrozumieć nie był wstanie, gdyż płacz i szlochanie szyb otaczających żon i dzieci wszystko głuszył i tłumił. Żandarmerya usuwała publiczność od szybu, myśmy zaś usiedli zmęczeni w lokalu maszyny fiedrunkowej i zamierzaliśmy się nieco posilić doniesioną nam kawą czarną. Nagle daje się słyszeć ogromny huk, ziemia się zatrzęsła, ze szybu buchnął dym z ogniem, krzyk, rozpacz, każdy szukał bądź okna lub drzwi, by uciekać jak najdalej od szybu. Była to trzecia z rzędu eksplozja, a według wyrządzonej szkody na wierzchu, najsilniejsza. Siła wybuchu zniszczyła całą maszynę na szybach wiatrowych tak szybu Henryety, jak i fiedrunku. Na szybie Jana ogromne drzwi wchodowe zostały wyrwane, schody żelazne, przymocowane do tak zwanego wierzchniego bonu, urwane i zmiażdżone. Po tego rodzaju wybuchu urzędnicy stracili

zupełnie głowę, poznali, że w kopalni palą się węgle, czyli że jest pożar kopalniany, który nie da się niczem innym udusić, tylko zupełnem zastawieniem jakiegokolwiek dopływu powietrza do kopalni. Teraz przypominano sobie hałdy suchego pyłu węglowego w 19-tym pokładzie, wyrabowane próżne pola, napełnione gazami palnymi. Inżynierzy malowali sobie obraz, co z tego powstanie; oto nzbierało się w krótkim czasie po eksplozyi czyli zupełnem spaleniu ponownie gazów, te od pożaru się zapalają, a ponieważ pierwszy wybuch sprzątnął wszystko, co sile wybuchu jeszcze w drodze stało, dlatego ponowne eksplozye są tem gwałtowniejsze i nawet na powierzchni.

Bergrat Grey pędzi ze strony swego zamku, trzymając ręce na głowie, krzycząc: „Um Gotteswillen, Grubenbrand, die Schächte sofort zudecken!“ (Rany boskie, pożar w kopalni, zabić zaraz kopalnię!) Rozkaz, który poniekąd był koniecznością, zaraz wykonano. W mgnieniu oka dowieziono z niedaleko się znajdującej piły parowej deski grube i zaczęto nakrywać szyby, uzupełniając nakrycie grubą warstwą ziemi, by jakiegokolwiek powietrze wstrzymać do kopalni. **Zabito szyby, zamykając w ogniu przeszło 300 górników.** Odpowiedź dawały niemilknące kobiety płaczem i złorzeczeniem wobec morderców. Panowie usprawiedliwiali zamknięcie szybów koniecznością zatamowania powietrza dla zagaszenia pożaru, pociesza-

jąc pozostałych, że po tych eksplozyach, których była kilka, nie może żaden żywy w kopalni się ostać. Że tak nie było, wykazały później znalezione trupy w różnych pozycjach, udowadniając najlepiej, że pewna część była spalona, a pewna z chustkami lub innym przedmiotem w ręku ratowała się, robiąc sobie tym sposobem sztuczne powietrze.

Po zupełnem zamknięciu szybów Jana, Karola, Franciszki i razem do tychże należących szybów wiatrowych i po pogrzebaniu trzech górników, których znaleziono pod szybem zabitych, w kopalni zapanowała cisza jak w grobowcu. Górników pewną część rozesłano na sąsiednie kopalnie zagłębia, pewna część przerażona katastrofą uciekła, by więcej nie wrócić a 330 spoczywało w czeluściach 300 m głębokiego szybu w szalejącym ogniu. Na każdym szybie zarządzono mierzenie siły wybuchowych gazów względnie szalejącego pożaru ziemnego. Zjeżdżały się rozmaite komisye górniczo-rządowe, nie tak dla badania, z jakiego powodu powstała straszliwa katastrofa, lecz jakim sposobem dostać się do kopalni, w celu ugaszenia pożaru. Po każdej komisyi i jej obradach, krążyły pomiędzy pozostałymi górnikami rozmaite wersye. Jedni mówili, że kopalnie zostaną wodą zalane, inni znów, że dostęp do kopalni na kilka lat się zamknie, by ugasić szalejący pożar. Koło każdego szybu ustawiono kilku górników, w celu doglądania, by żaden obcy się nie zbliżył.

Po upływie około 6 tygodni po katastrofie wyszedł rozkaz od nadeszłych całym obcych urzędników kopalnianych (gdyż urzędnicy kopalniani z wyjątkiem kilku sztygarów i jednego inżyniera razem z bergratem Greyem po katastrofie z kopalni się usunęli) iż z szybu Głębokiego jako z pola najbardziej oddalonego od katastrofy, jak i również najgłębszego rozpocząć prace śledzenia tak za ogniem, jak i również za trupami zabitych górników.

Katastrofa przeraziła wszystkich górników do tego stopnia, że ciężko było znaleźć ochotnika, który by się zgodził pierwszy pojechać do kopalni. (Zaznaczam, że szyb Głębok i aż do tej chwili również był zamknięty.) Długo namyślaliśmy się, zanim zgodziliśmy się pojechać do grożącego każdej chwili niebezpieczeństwem szybu, tylko brak zarobku dodawał nam odwagi do wszystkiego.

Nareszcie zgodziliśmy się z kilku najmniejszych starszymi górnikami w towarzystwie dozorców pojechać do kopalni.

Rozpoczęliśmy pracę tego rodzaju, że tylko z pomocą wspomnianego szybu Głębokiego i do niego należącego szybu wiatrowego musimy dojść na główny chodnik (Querszlak) łączący szyb Franciszki z szymbem Głębokim i nieszczęśliwym polem pokładu 19-tego.

Okropna to była praca rozdzielona na 4 zmiany po 6 godzin, które w największym

strachu i pocie każdy z nas w kopalni przeżywał. Każdy najmniejszy szelest spadających kamieni lub pęknięcie drzewa, powodowało ucieczkę aż pod szyb.

Po kilku dniach tego rodzaju pracy dotarliśmy na wspomniany główny chodnik położony jakie 500 do 600 metrów nad pochylnią prowadzącą od szybu Głębokiego. Zaznaczyć tu należy, że prace te zaraz z wierzchu wykonywaliśmy w maskach, w które nabierali się trzej górnicy i za pomocą sztucznie prowadzonego powietrza węzami aż do maski czyli aparatu, szliśmy zawsze naprzód do otwartego pola, które dla innych pomocnych jeszcze robotników podwójnem oddzieleniem z desek i drzwi ograniczone było, a to dlatego, by powietrza nie wpuszczać tylko do tych chodników, któreśmy przeszli, boczne również zamykano szalowaniem z desek.

Jak wspomniałem, gdyśmy doszli tego rodzaju pracą na główny chodnik, który krzyżował się w stronę szybu wiatrowego, zamknęliśmy murem 30 cm tenże w stronę szybu Franciszki. Panowie kierujący akcją i pracą w kopalni, konstatawali, że pole zajęte pożarem i katastrofą jest zupełnie oddzielone a dla tańszego kosztu w dalszej pracy można puścić w ruch maszynę wiatrową (wentylator) szybu Głębokiego. Co postanowili, to też zrobili. Za kilka godzin po puszczeniu w ruch wentylatora, powstała nowa straszna detonacja, która trafem szczę-

śliwym powstała w tym poziomie, gdzie nas nie było. Byliśmy o jedno piętro wyżej, w maskach, chcąc zamurować otwór w tzw. trzecim horyzoncie.

Pomimo szelestu, jaki nam sprawiało powietrze presowane do aparatu, poczuliśmy straszny łoskot i zachwianie ziemią. Ponieważ te prace wykonywaliśmy z klatki w szybie, prędko daliśmy znak do wyjazdu na wierzch. Wyjechawszy na wierzch całe tłumy znów obstały szyb, chcąc dowiedzieć się, czy wszyscy jeszcześmy żywi, gdyż z wiatrowego szybu buchał czarny dym i ogień aż na wierzch. Nasze ocalenie przypisywano temu, że siła większa buchnęła do otwartego szybu Głębokiego i w jego stronę, gdzie na szczęście w tym dniu aż do zamurowania przez nas wspomnianego otworu żaden się nie znajdował.

Po tem wybuchu uznano, że pożar jest w kopalni ogromnie daleko rozszerzony i że należy ponownie szyby zamknąć i tylko za pomocą aparatów wszystkie pola tych 4 kopalni przejść. Co postanowiono, to się stało — wentylator zastawiono i szyby zamknięto.

Za kilka dni rozpoczęto ponowną pracę z szybu Głębokiego, lecz żaden nie chciał wdziwać na siebie aparatu i jechać do kopalni. Nie pomagały przyrzeczenia 2 koron oprócz swej zapłaty normalnej za zmianę, dodatkowe wynagrodzenie za pół godziny pracy w aparacie, każdy drżał ze strachu, ubrał się w maskę, a kiedy już miał stawać

do klatki, by pojechać na dół, krzyczał gwałtu, aby go natychmiast rozebrać, że przecież nie pojedzie na niechybną śmierć. — Miłemi rozmowami przedstawianiem bezpieczeństwa przez kierującego inżyniera, zdołano nas nakłonić do podjęcia ponownej pracy tak ryzykownej.

Po kilku dniach naszej pracy prowadzonej z półgodzinnymi a później jednogodzinnymi zmianami dotarliśmy do miejsc замуrowań sporządzonych przed kilkoma tygodniami przed ostatnim wybuchem. Tam mogliśmy skonstatować siłę detonacyi, gdyż z naszego muru ani jedna cegła na drugiej nie leżała, wszystko było wymiecione. Zmuszeni byliśmy ponownie замуrować wszystkie otwory, naturalnie zabrało to więcej czasu, gdyż tylko trzej zawsze mogliśmy pracować a to jeden murował i ub budował zależnie, co było potrzebnem, drugi mu świecił światłem elektrycznem, a trzeci musiał donosić materyał.

W ten sposób postępowała praca, że w aparatach przeszliśmy 50 do 100 metrów głównym chodnikiem, zamykając mniejsze boczne chodniki za sobą ciekim murem. Do tych wskazanych metrów sięgały też węże prowadzące powietrze do aparatów. Tam znów zrobiliśmy w aparatach podwójny mur 3 do 4 metrów od siebie oddalony z drzwiami, w których wprawione było małe okienko. Kiedy to było gotowe, posunięto całą pracę o tyle metrów naprzód, minięta

tak zwaną szleisę zdemulowano i znów w aparatach dalej zrobioną nową itd. postępowano do osiągnięcia ponownych 50 lub 100 metrów zależnie od sposobu zrobienia nowego odgraniczenia czyli szleisy.

Pierwsze zwłoki zabitych kolegów dwóch znaleźliśmy jakie 20 metrów od głównego chodnika prowadzącego do szybu Głębokiego, w położeniu siedzącym, opartych o ścianę węgla w tak zwanym chodniku wiatrowym. Z pozycji tych nieszczęśliwych było można wywnioskować, że zostali uduszeni bądź zaraz po eksplozyi lub później, kiedy szyby zamknięto, z braku powietrza.

Kiedyśmy doszli do tak zwanego głównego chodnika wiodącego do 19 tego pokładu, tam na głównem dzieleniu, zwanym wekslu, leżały hałdy zwęglonych i strasznie zeszarpanych ciał ludzkich, przywalonych z wierzchu kamieniami. Gd tej chwili rozpoczęło się wydobywanie ciał zabitych górników, lecz rzadko trafiono na całe ciało człowieka, tylko albo znaleźliśmy nogę, lub rękę, tułów zaś zeszpecony.

Wydawanie ciał następowało w ten sposób, że ciało przynieśliśmy w rękach do szleisy, gdzie już stały przygotowane trumny; do każdej włożono jakie 2 metry płótna, do którego zostało ciało zawinięte dobrze karbolem skropione; trumnę zaś zabito i tak odesłano na wierzch, którą następnie zaraz odwieziono do umyślnie na cmentarzu kar-

wińskim zbudowanej szopy, z której odbywał się pogrzeb.

Wydobywanie ciał nastąpiło już w rok po katastrofie i trwało przeszło 2 lata, tak, że już znalezione później ciała, szczególnie więcej popalone, były w zupełnym rozkładzie. Jakie straszne męczarnie musieli ci biedacy znieść, świadczy najlepiej to straszne zeszarpianie ciał, lub zwęglenie. Jeszcze gorzej musiało to być u tych, których znaleźliśmy w pozycjach ratunkowych. Naprzykład w jednym czole znaleźliśmy koło 20 razem, jednych siedzących, drugich leżących, którzy mieli koszule zdarte z siebie i na głowie zarzucone; jedni trzymali się znów za szyję. Widocznem było, że nie zostali zabici od eksplozyi, tylko zginęli od uduszenia. Koło trzech lat trwała tego rodzaju praca, nim przeszukano głównejsze chodniki, by ciała zabitych odprowadzić na przeznaczone miejsce cmentarza.

Pomimo tego pewne miejsca, w których górnicy pracowali przed katastrofą, stały się po tejże niedostępne, a to przeważnie prace w rabowaniu, gdyż drzewo podtrzymujące strop, które nie zostało powybijane przez straszną detonacyę katastrofy, zgniło z biegiem czasu, nim zdołano dotrzeć do tych miejsc, a ponieważ strop na pokładzie 19-tym jest słaby, zawalenie było tego rodzaju, iż absolutnie niemożliwem było, ciała tych górników ztamtąd wydobyć. Z pewnością ani hr. Larysz ani jego urzędnicy nie mogą przy-

sięgnąć, że wszystkie 330 ofiar katastrofy wydobyto i znajduje się na cmentarzu karwińskim, lecz pewnem jest, że dość wielka liczba pogrzebana jest w grobie koło 240 metrów od pola 19-tego pokładu. Stosowanie liczby wydobytych ciał do liczby górników, którzy zjechali do tego pokładu w ów straszliwy dzień 14. czerwca 1894, jest okłamywaniem publiczności, że wszystkich wydobyto. Umożliwiła to panom ta okoliczność, że niektórzy byli po kawałku odszukani i do trumien złożeni, dlatego liczba trumien była większą aniżeli ciał całych wydobytych.

Za to też klerykalny hr. Larysz ze swoim sztabem Jezuitów karwińskich uznali, by dla zagłuszenia wyrzutów sumienia, jakie musiał sprawiać temu panu dokonany mord na tylu robotnikach, dalej dla zagłuszenia płaczu wdów i setek sierót, kazał wybudować skromną kaplicę na polu koło drogi blisko dworu zwanego Henrykowym, na miejscu, gdzie w ziemi w piekle jego kopalni znalazły śmierć setki mężczyzn w pełni wieku i żywicieli swych rodzin. Kaplica wybudowana ma być pomnikiem świadczącym o współczuciu dla dotkniętych katastrofą ofiar ze strony Hrabiego, czyli krokodylą łzą tego pana klerykalnego.

Dla górników zaś postępowych kaplica ta jest świadkiem zbrodni popełnionej na górnikach przez nieubłagany wyzysk górniczy i znakiem nadziei pomsty za krzywdy,

która nastąpi, kiedy górnicy z pomocą swej organizacyi zmieniają dzisiejszy morderczy porządek w górnictwie, który jednych morduje codziennie, a drugiemu przynosi krociowe zyski, z których część małą daje się na kaplicę i kościoły, by te zagłuszyły krzywdę setek wdów i sierot.

Końcowe uwagi.

W końcowem streszczeniu zwracam szanownym czytelnikom uwagę na tę okoliczność, że niniejszy urywek z historyi rozwoju górnictwa w rewirze ostrawsko-karwińskim nie obejmuje tego wszystkiego, co by dokładnie tego rodzaju historia, napisana przez uczonego teoretyka, zawierać miała. Urywek ten twardą ręką w praktyce doświadczonego górnika napisany, który sam przez 23 lata dzielił się losem w głębi ziemi ciężko pracujących górników. Z tego powodu oczekuję, że ta mała i prosta książka znajdzie się w pierwszym rzędzie w ręku każdego górnika. Młodzi górnicy niechaj zrozumią, jaki wprost rewolucyjny przewrót dokonał się w górnictwie, porównując dawniejsze czasy.

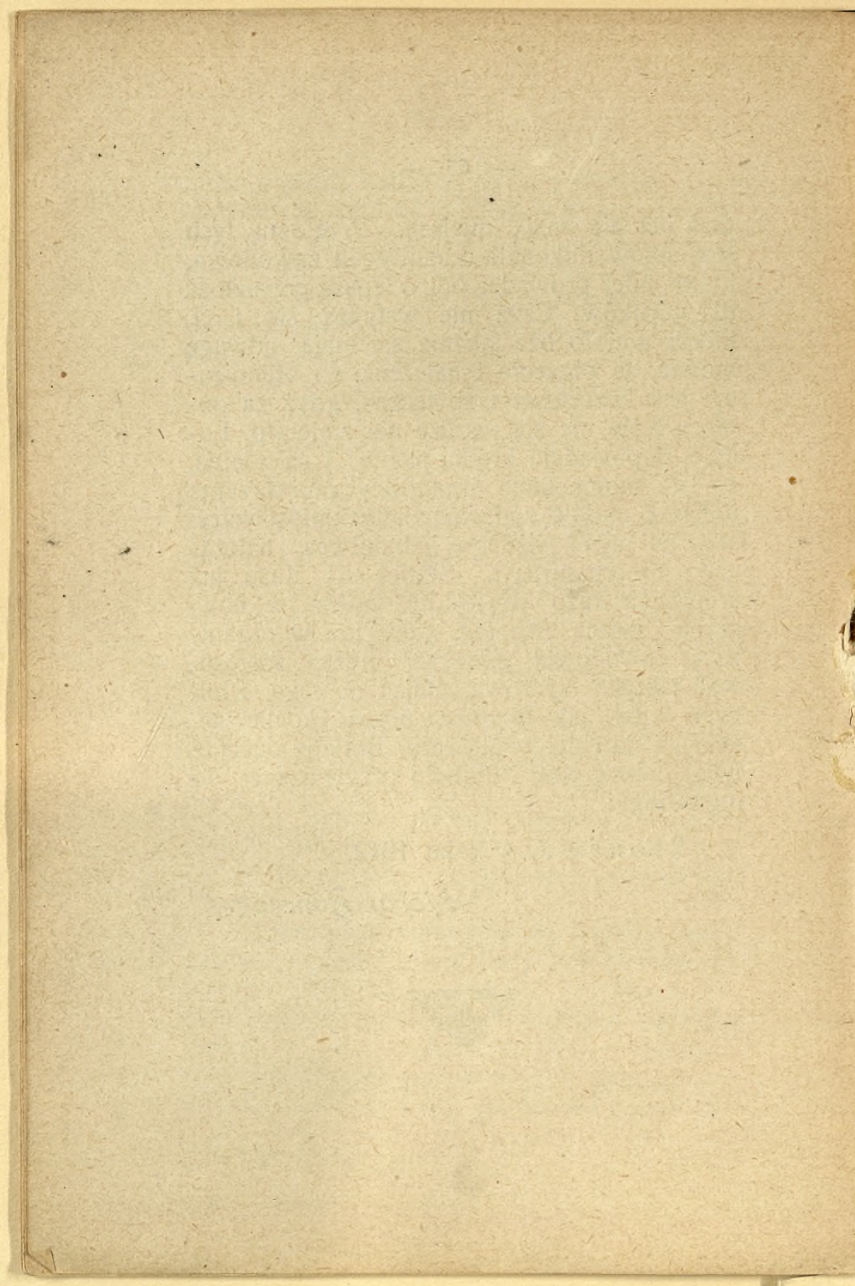
Wynalezione maszyny do pomocy przy pracy w kopalni mają służyć do wyręczania górnika w ciężkiej pracy a do zwiększenia produkcyi i zarobków. Udzielane dawniej dozorcóm i urzędnikom łapówki, gwałtowne odbieranie pieniędzy za węgiel deputatowy, światło, narzędzia itp. potrącenia z zarobku

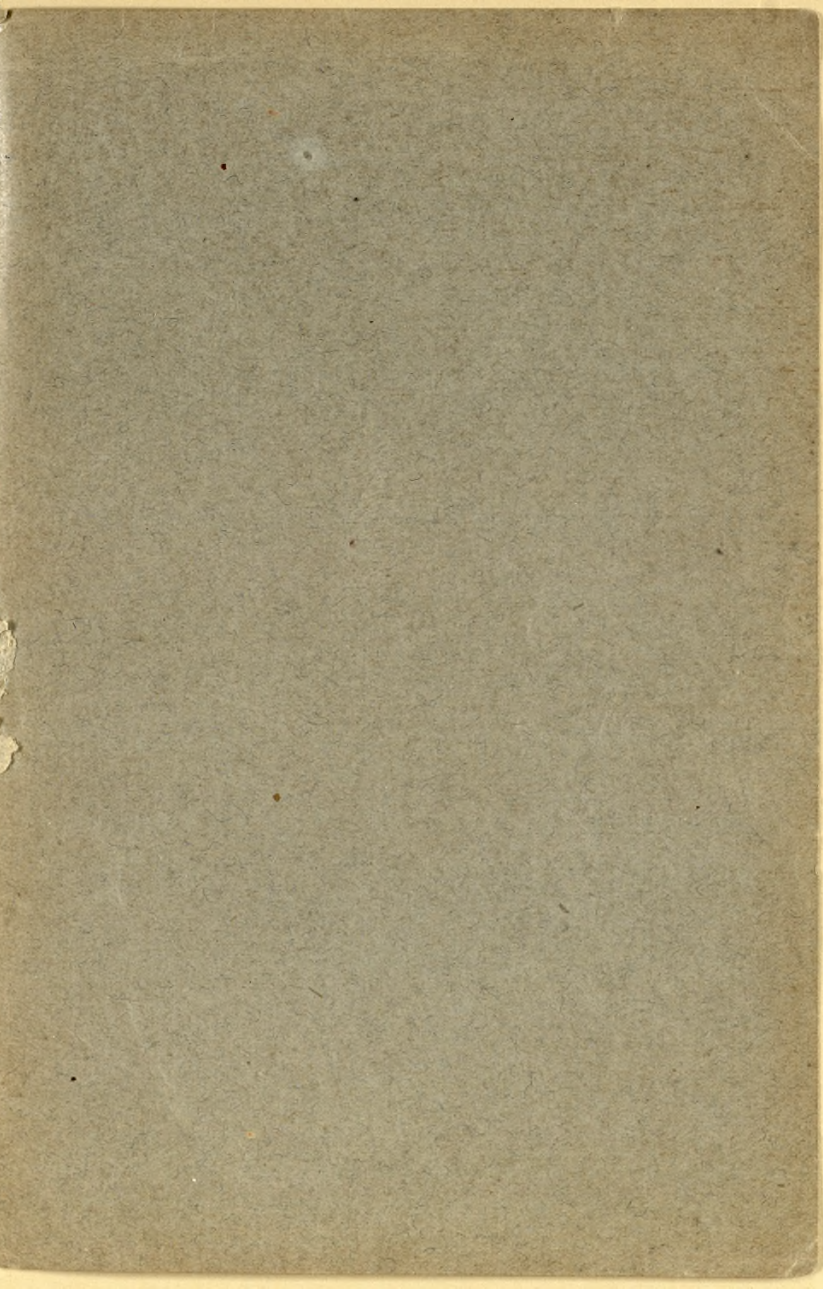
dziś już nie mają miejsca. Przełomu tych stosunków dokonała organizacja zawodowa, która dalej prowadzi bój o lepszą przyszłość dla górników. Czyż nie wstydzą się i ci, którzy śmiało bez jąkania się mają odwagę mówić, że płacenie i należenie do organizacyi jest bezcelowe i zbyteczne, gdyż za pomocą tejże nic się jeszcze nie zmieniło. Ludzie ci posiadają krótką pamięć i są zdania, że siła momentalna organizacyi potrafi zaraz dokazać cudów, zmieniając natychmiast wszystko po myśli każdego jednotlivca, należącego do organizacyi. Słabe siły dużo już zrobiły, a dużo więcej by można w nowszych czasach zdziałać, gdzie już w organizacyi zawodowej górniczej można zastosować taktykę rzeczową, mając do tego zdolnych ludzi, jak również prawa koalicyjne, których dawniej brakowało. Brakuje obecnie tylko dobrej woli i stałego przywiązania do organizacyi.

Stonawa, w roku 1912.

Alojzy Bonczek.







C003425 I
H Lf komp